

przystań poetów z zapachem słodkich mandarynek

Poeci z Grupy „Wtorkowe Spotkania Literackie”, żegnali się z Niepogłędziem z ogromnym bagażem dobrych wspomnień dziecięcych uśmiechów, radosnych krzyków na szkolnych korytarzach...



Początek marca, niby wiosna, ale jeszcze mroźne pazury zimowej szaty ściskają ziemię. Chłodny wiatr smaga po twarzy. Poeci z Grupy „Wtorkowe Spotkania Literackie”, działającej przy Starostwie Powiatowym w Słupsku, przyjechali na II już zjazd do Niepogłędzia, na „Przystań Poetów”, na zaproszenie Stowarzyszenia „Speranda” prowadzącego społeczne szkoły w Niepogłędziu, wójta gminy Dębница Kaszubska, Eugeniusza Dańczaka i Gminnego Ośrodka Kultury w Dębnicy Kaszubskiej. Tym razem w ramach „Przystani” poeci spotkali się z dziećmi i młodzieżą we wszystkich szkołach podstawowych i gimnazjalnych gminy Dębница Kaszubska. Swoją twórczością w młodszych klasach dzielili się m.in.: Genowefa Gańska, Anna Boguszewska, Anna Karwowska, Wanda Majewicz-Kulon, Piotr Grygiel i Andrzej Szczepanik. Do starszych klas wybrali się: Czesława Długoszek, Emilia Zimnicka, Emilia Maraśkiewicz, Jadwiga Michalak, Mieczysław Krymski, Łukasz Tomczak, Przemysław Gac, Mateusz Wolff i inni.

W Motarzynie, w spotkaniu z klasami IV-VI udział wzięły panie Eugenia Ananiewicz i Henryka Jurałowicz-Kurzydło oraz miejscowa poetka, Aldona Peplińska. Panie, przedstawiając się, opowiedziały uczniom swoje szkolne lata. Czytały wiersze, odpowiadały na pytania, przestrzegały młodzież przed alkoholem i narkotykami. Poetki dziękowały za ciepło, radość i energię dziecięcą, jaką otrzymały od swoich słuchaczy. Uczniowie, zafascynowani opowieściami, tłumnie ubiegali się o autografy. Na zakończenie, goszcząc w motarzyńskiej szko-

le poetki w podziękowaniu otrzymały dyplomy, pamiątkowe zdjęcia, kwiaty i maskotki.

Po obiedzie i słodkim poczęstunku w Niepogłędziu przyszedł czas na warsztaty literackie, a po nich na spotkanie z dorosłymi odbiorcami twórczości „wiejskich poetów”. To był kulminacyjny punkt tegorocznej „Przystani”, tym razem nieco inny od ubiegłorocznego, bo podczas owego wieczoru odbyła się również promocja najnowszego tomiku wierszy Aldony Peplińskiej pt. „Dziś mandarynki straciły twarz”.

Wieczór rozpoczął się laurką słowno - muzyczną w wykonaniu młodzieży z dębnickiego gimnazjum oraz pań z kabaretu „Babeczki”, które

Jan Stanisław Smalewski, Naćmierz

TRZEBA NAM WIARY

*Trzeba nam wiary, że w tym świecie trudnym
jeszcze się komuś nasza ręka przyda.
Dłoń pomocna i dla nas gdzie jeszcze
czeka w gotowości, gdy powinie się noga.*

*Trzeba nam wiary, że w tym świecie brudnym
wystarczy naszym braciom i wody i mydła,
by lśniąc niedzielnie, prawdy głosić wieszczę,
że to dla zbawienia - jeśli ktoś się potknie.*

*Trzeba nam wiary, że w tym świecie złudnym
wypięknijemy raz jeszcze - do trumny
i uroczystości, całkiem oczyszczeni
szlachetnością przejętą z najdroższych kamieni
zalsniami młodzi, kochani i wierni.*



deklamowały wiersze Peplińskiej i zrobiły to świetnie. Były hity polskiej muzyki rozrywkowej oraz scenka kabaretowa w wykonaniu Grupy Teatralnej „Uśmiechnij się”, pt. „Co nieco o kobiecie w krzywym lustrzanym sekrecie” - autorstwa też

A. Peplińskiej. Zgromadzeni mieli okazję wysłuchać wyczerpującej recenzji jednego z wierszy zaprezentowanej książki, wygłoszonej przez profesjonalistkę w tej dziedzinie - Czesławę Długoszek z Objazdy. Były krótkie limeriki Grzegorza Chwieduka ze Słupska i nawet „Oda do Aldony” napisana „na poczekaniu” przez Emilię Zimnicką. Swoją twórczością podzielili się - Jerzy Fryckowski, Anna Karwowska i Henryka Jurałowicz-Kurzydło. Nie obyło się bez dobrego humoru, kiedy to prowadzący spotkanie Wioletta Mastyk i Zbigniew Babiarz-Zych porwali autorkę tomiku w krzyżowy zestaw pytań.

Kiedy przyszedł czas dla gości, skorzystali z niego poeci, m.in. Jan Stanisław Smalewski, Mirosław Kościński, wójt gminy Dębica Kaszubska - Eugeniusz Dańczak, dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Dębicy Kaszubskiej - Anna Pietrzak, dyrektor Miejsko - Gminnego Ośrodka Kultury w Kępicach - Marta Borodziuk, Danuta Sroka z Miejskiej Biblioteki Publicznej w Słupsku i inni.

Tegoroczna „Przystań Poetów” zakończyła się kolacją i „gorącymi” komentarzami. Wszyscy zgodnie oświadczyli, iż z radością powtórzą wizytę w tym uroczym miejscu, do czego zachęcał gospodarz obiektu, ks. Ryszard Iwanowski. I chociaż to, co dobre szybko się kończy, pozostawiając apetyt na jeszcze, poeci z Grupy „Wtorkowe Spotkania Literackie”, żegnali się z uśmiechem. Z ogromnym bagażem dobrych wspomnień, dziecięcych radosnych krzyków na szkolnych korytarzach, serdecznych wiązanek miłych słów wychowawców i nauczycieli, jak też braw publiczności, pozostawili zapadający w sen pałac w Niepogłędziu, z drzemiącymi gdzieś przy kominku strofach ostatnich wierszy.

Na zaproszenie dyrektora Szkoły Podstawowej im. Leśników Polskich w Motarzynie, Gabriela Konkela oraz sołtysa wsi - Renaty Rejkowicz i Rady Sołectkiej przybyło 18 marca kilkadziesiąt osób na kolejną prezentację książki Aldony M. Peplińskiej pt. „Dziś mandarynki straciły twarz” - tym razem do Motarzyna.

Wieczór rozpoczęto nutą kaszubskiego folkloru. Dziecięcy Zespół „Jantar” zatańczył poloneza, nenkę i kowala. Następnym cukierkiem słowno-muzycznej bombonierki był występ



pań z kabaretu „Babeczki”, które tym razem poważniej podeszły do swego występu i pięknie recytowały poezję z promowanego tomiku swojej kabaretowej koleżanki oraz młodych autorek ze starszych klas - Aleksandry Langowskiej i Weroniki Sitkowskiej. Swoją występow rozpoczęły od piosenki, do której tekst napisała Aldona Peplińska, a muzykę - Agnieszka Musiał. Była to nagrodzona na przeglądzie w Smołdzinie piosenka poświęcona papieżowi Janowi Pawłowi II pt. „Dziękuję Ci Ojczy Święty”. Po czym poetka przeczytała też kilka wierszy dedykowanych papieżowi oraz ks. Twardowskiemu. Przeczytała teksty poświęcone zeszłorocznej tragedii Tupolewa Tu-154. Ta część, poświęcona tym wspomnieniom przed Beatyfikacją naszego kochanego Papieża Jana Pawła II, wzruszyła gości do łez.

Najnowszy tomik wierszy A. Peplińska zadedykowała swojej matce i dla niej złożyła laurkę, czytając swoje wiersze w takt piosenki z repertuaru Wioletty Willas „List do matki”, śpiewanej przez Olę Langowską. I w tym momencie nikt się nie wstydził łez. Wielkie wzruszenie powoli przemieniło się w dobry humor i radosne śmiechy za sprawą satyrycznych utworów i kilku wierszyków dedykowanych najmłodszym uczestnikom spotkania. W tak dobrych nastrojach wysłuchano znanych szlagierów polskiej muzyki rozrywkowej - piosenek „Brzydci”, „Łatwopalni”, „Pomaluj mój świat”, „Tyle słońca w całym mieście” w wykonaniu Oli i Weroniki oraz wiązanki biesiadnych hitów w wykonaniu Grupy Seniorów z Gminnego Ośrodka Kultury w Dębnicy Kaszubskiej.

Wśród przybyłych gości byli również koledzy „po piórze” - Piotr Grygiel z Jasienia i Mieczysław Krymski z Żochowa. Oni także recytowali swoje wiersze, dzielili się spostrzeżeniami, refleksjami z publicznością.

Czas na przemówienia, podziękowania i gratulacje. Wykorzystali m.in. - wójt gminy Dębica Kaszubska, Eugeniusz Dańczak oraz przewodnicząca Rady Gminy - Jadwiga Karaś.



Spotkanie zakończyło składanie autografów przy słodkim poczęstunku ze smakiem mandarynek, którymi autorka częstowała. Każdy opuszczał mury szkoły z książką i... mandarynką w dłoni.

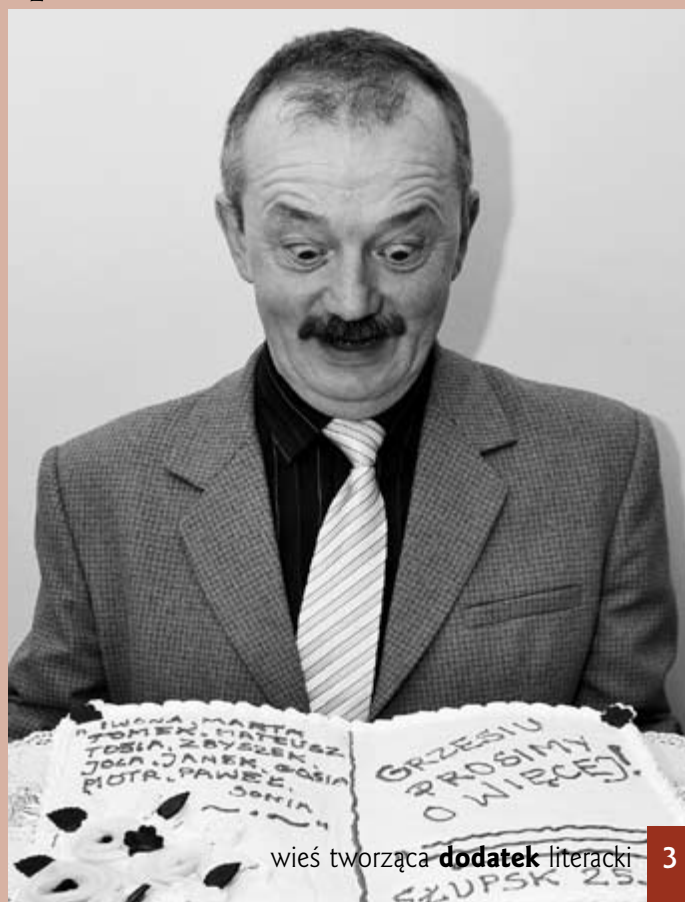
Jagoda Mędrak, Słupsk

„Limerykowisko polskie”



Grzegorz Chwieduk ze Słupska jest pierwszym poetą, który przedstawił wszystkie miasta w Polsce w niebanalny sposób, wplótł satyrę w życie, tworząc „Limerykowisko polskie”

Ten debiutancki tomik poezji satyrycznej Grzegorza Chwieduka ukazał się pod koniec 2010 roku, a jego promocja odbyła się 25 lutego w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Słupsku. Każdy wiersz umieszczony w tomiku ma osobliwy kontekst. Głównym bohaterem jest miasto, treść zaś odsyła do konkretnego człowieka oraz jego zajęcia, zawodu, pasji. Jest i o narodowych słabostkach, a jakże. Autor potrafi w sposób poufale żartobliwy nadać ton każdej przedstawionej strofie, nie boi się przy tym słów, często-kroć nieprzyzwoitych. Dodajmy, że limeryk nie jest prostą formą literacką. Skład wiersza musi być odpowiedni, zaś puenta ma zaskakiwać odbiorcę. Aby przedstawić ciekawą grę słów, trzeba mieć nie tylko duszę poety, ale również słuch muzyczny. Konstrukcja takiej formy, która w odbiorze wydaje się frywolna, niekiedy nawet obsceniczna, wymaga pewnych zabiegów ze strony poety.

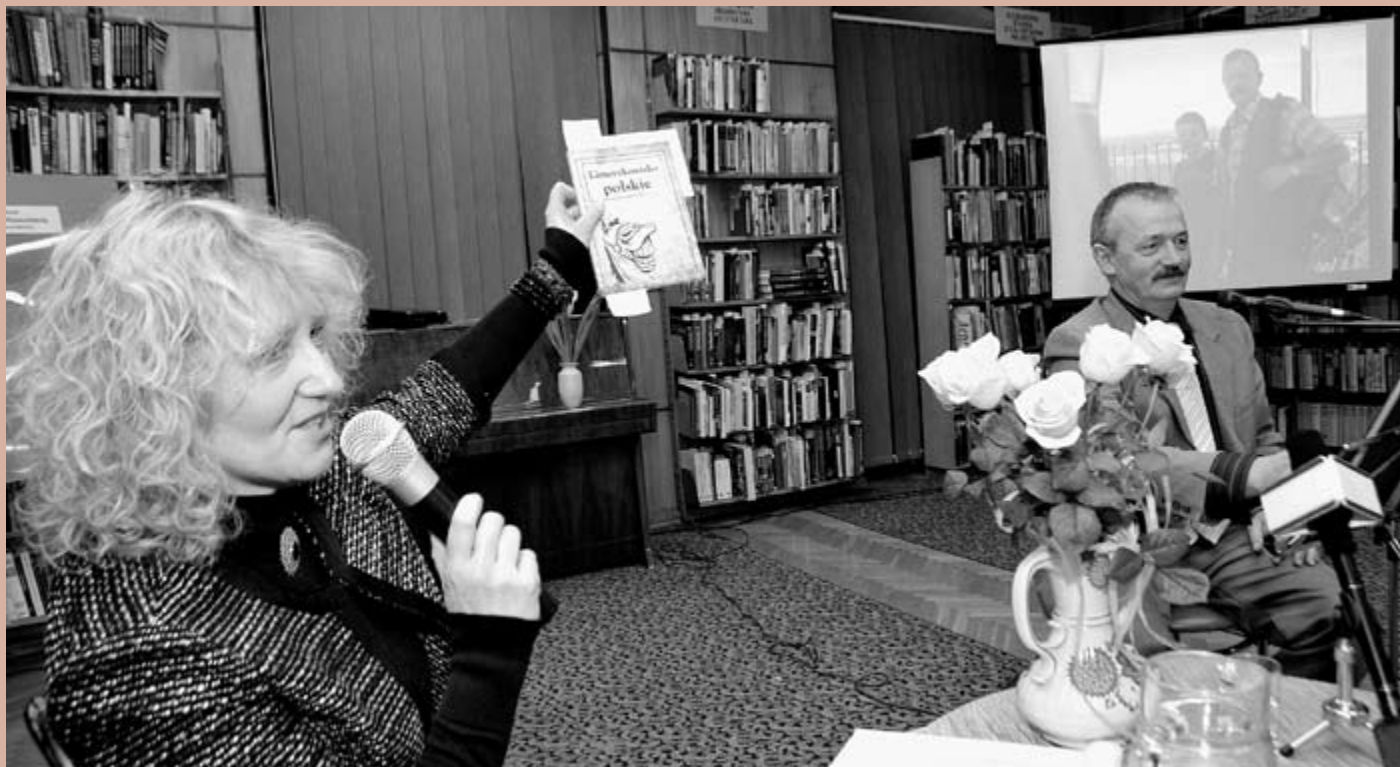


Tworząc pięć wersów o układzie rymów aabba, należy pamiętać o odpowiednim akcentowaniu sylab, a to nie jest proste. Trzeba przecież zachować przy tym sens.

Na imprezie promocyjnej „Limerykowisko polskie”, obok limeryków, pojawiły się inne utwory autora. Grzegorz Chwieduk zapowiedział, że debiutanckie teksty, które za-

prezentował w bibliotece w formie pieśni, zostaną umieszczone w kolejnym tomie, który już niebawem trafi do rąk czytelników.

Danuta Sroka, Słupsk
Grzegorz Chwieduk, „Limerykowisko polskie”, Starostwo Powiatowe, Słupsk 2010.



Nie tak dawno przeżywałem promocję swojego tomiku, więc pozostała we mnie część tego specyficznego podenerwowania charakterystycznego dla takich niecodziennych przecież uroczystości

byłem u grzegorza

Ponieważ moja sympatia dla Grzegorza Chwieduka nie maleje, a wręcz przybiera, jak rzeka na wiosnę, postanowiłem bez względu na okoliczności uczestniczyć

w jego poetyckim święcie. Chciałem po prostu sprawić, mówiąc nieskromnie również sobie, odrobinę odmienniej przyjemności...



Kiedy zaparkowałem z trudem, zaskoczył mnie przebłysk wspomnienia podróży do Moskwy, jaką odbyłem w zamierzonych czasach. Za oknem autobusu, pomiędzy parkową moskiewską zielenią mignęła sylwetka kościoła z gotycką wieżą z czerwonej cegły. Nie pełnił on jednak funkcji, do jakiej go stworzono, lecz zbożowego magazynu, broniąc wstępu stalowymi sztabami.

To przedziwne słupskie skojarzenie zakiełkowało widokiem kościoła - biblioteki (przy ulicy Grodzkiej). Nie żebym miał coś przeciwko, ale podobieństwo pomysłów wykorzystania „niepotrzebnych” przestrzeni przez niedysyjszych decydentów potwier-



dza ówczesną jednogomyślnością, nieograniczoną nawet tysiącami kilometrów.

Ten fragment wspomnień nie ma oczywiście nic wspólnego z promocją „Limerykowiska polskiego”. Sala czytelników, będąca kiedyś zapewne nawą lub kruchtą, zappełniła się. Zjawiała się pani dźwigająca statyw z kamerą, kilka osób z dumą błyskało cyfrówkami. Królowała oczywiście Jan Maziejuk z wszystkimowidzącym teleobiektywem. Publiczność zróżnicowana wiekowo, demonstrowała różne trendy obowiązującej i nieobowiązującej mody, poczynawszy od dzinsowej swobody, kończąc na strusich piórach szeleszczących w towarzystwie srebrnych bransolet, złotych pierścieni i sięgających pępka sznurów koralików.

Zabrakło trochę delikatnego brzmienia ukrytej muzyki, co później nadgoniono występami solistów i samego bohatera promocji. Grzegorz, skromny, jakby wyciszony tremą, pięknie zaśpiewał słowa swoich limeryków, niby zamucony bard akompaniując sobie gitarą. Czytając swoje wybrane utwory upewnił mnie w przekonaniu, że każdy temat stanowić może treść satyrycznego spojrzenia, budzi zainteresowanie, rozwesela i rozbawia. Bohaterem jednego z nich jest też autor niniejszego felietonu.

Impreza prowadzona sympatycznie i sprawnie zyskała na atrakcyjności dzięki występom młodzieżowego kabaretyku i śpiewającego aktora kabaretowego oraz szczególnie sympatycznie przyjętego przyjaciela Grzegorza, niewidomego akordeonisty, śpiewającego teksty zbliżone do twórczości Chwieduka. Nie obyło się bez rodzinnego zdjęcia państwa Chwieduków. A potem bohater wieczoru zginął w otoczeniu objadających się tortami wielbicieli, zasypa-

ny bukietami, zapewne szczęśliwy z udanej uroczystości i kolosalnego dyplomu, jaki otrzymał na dowód swojej twórczości.

Andrzej. Szczepanik, Bytów



LIMERYKI DLA... PUBLIKI

Andrzej. Szczepanik, Bytów

COŚ O GRZEŚKU

*Gdy ci chandra żyć nie daje
razem z tobą z łóżka wstaje
kiedy w okna szkło zapuka
wtedy zadzwoni do Chwieduka
On jest mistrzem limeryki
poproś o coś z polityki*

*niech z tomiku coś wybierze
o Millerze, o Leperze
albo tekścik erotyczny
tchnący seksem lub liryczny
jakiś wersik o dziewicach
o spodniach lub o spódnicach
wierzyć proszę - wszystko ma
i na żartach też się zna!
Chwieduk to prawdziwy mistrz
a limeryk machnąć - przyszc!*

*taką bowiem ma naturę
wtyka nos w najgłębszą dziurę
i po chwili - choć choleryk
nowy zrodzi się limeryk
On dziś pełen jest emocji
któż jest inny w dniu promocji?
kiedy wokół przyjaźni kipi
brawa słyhać i okrzyki
niech nam pisze, dla publikacji
te wspaniałe limeryki.*



„oddaj moją twarz”



Z tych estetycznych, zebranych w całość „okruchach” myśli Teresy Ławeckiej, można wyczytać całe jej życie, swoistą ewolucję, od szaleństwa do równowagi

Do rąk czytelników trafił debiutancki tomik poezji Teresy Ławeckiej - niewidomej poetki i dziennikarki działającej na rzecz osób niepełnosprawnych. Wydawnictwo zostało sfinansowane przez gminę miejską Słupsk oraz Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych. Tomik ukazał się w nakładzie 350 egzemplarzy wraz z płytą CD-audio, jego promocja odbyła się w Miejskiej Bibliotece Publicznej 3 lutego br. Autorka podpisała sześćdziesiąt egzemplarzy

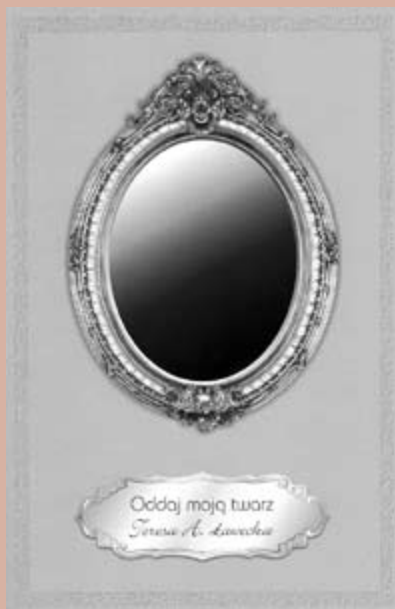
swojego tomiku. Czuło się w jej słowach wzruszenie i wdzięczność dla osób, które były „współsprawcami” wydania jej myśli. Atmosfera spotkania była niecodzienna, wszakże sama poezja nie jest codziennością. Wyrażenie siebie w strofach, odpowiednia liczba wersów, sylab, dobranie rymu, obnażenie myśli, tych które niepokoją i tych z którymi pogodziliśmy się już dawno, nie jest proste. Proza życia bywa niepokojąca, trudna, czasami nie-

przewidywalna. W poezji możemy wyrazić te niepokoje, przemycić w słowach strach i wykrzyknąć smutek. Sama autorka twierdzi, że najbardziej jej zależało na tym, aby przekazać innym (widzącym i niewidzącym) doświadczenie kobiety, która żyła w dwóch światach.

Z tych estetycznych, zebranych w całość „okruchach” myśli Teresy Ławeckiej, można wyczytać całe jej życie, swoistą ewolucję, od szaleństwa do równowagi. Zapewne każdy z nas inaczej będzie odbierał te same słowa, ten sam wers, porównanie, przenośnię. Profesjonalni krytycy, w sposób estetyczny i bardzo złożony recenzując poezję, określając jej



granice oraz budowę. Przypuszczalnie większość z nas odczytuje poezję w sposób niekonwencjonalny, znany jedynie sobie, częstokroć wpisując w strofy własne życie.



W podświadomości kumulujemy nasze smutki, radości, ból, ukryte pragnienia i tak bardzo tęsknimy za szczęściem. Niepokój daje znać o sobie w niespodziewanych momentach. W takich chwilach warto sięgnąć po cudze wiersze lub wyciszyć się w poezji własnej. Teresa Ławecka jest człowiekiem, który nie poddaje się losowi, wbrew jego przeciwnościom, wciąż żyje pełnią życia, marzy, tworzy,

działa. W swoim działaniu daje innym siebie, mimo tego, że lustro nie chce oddać jej twarzy.

Danuta Sroka
Słupsk

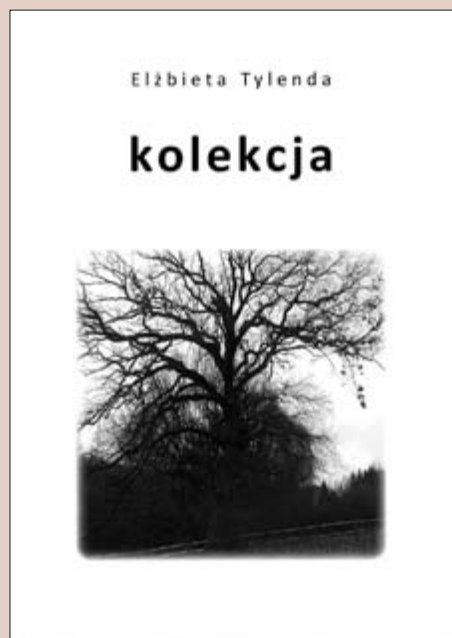
Teresa Ławecka, „Oddaj moją twarz”, *Gazeta Mówiona*, Słupsk 2010.

Tomik „Kolekcja” - debiut poetycki Elżbiety Tylendi, dojrzałej poetki z Darłowa - zawiera pięć rozdziałów: „W zamyśleniu”, „Przenikanie”, „Alienacja”, „Milczenie” i „Zwyczajnie”. Zaintrygował mnie tytuł tomiku.

W Słowniku wyrazów obcych zwrotów obcojęzycznych Władysława Kopalińskiego (Wyd. XX, Warszawa 1990 r, Wiedza Powszechna), pod hasłem „kolekcja” czytamy: „zbiór przedmiotów określonego rodzaju, na przykład: obrazów minerałów, starej broni, numizmatów, znaczków pocztowych, gromadzonych dla ich wartości artystycznych, naukowych, dydaktycznych, jako lokata kapitału, obiekt spekulacji lub zaspokojenia bezinteresownej skłonności do kolekcjonowania”.

Wiersze Elżbiety Tylendi posiadają niezwykłą wartość artystyczną i zaspokajają bezinteresowną skłonność autorki do ich kolekcjonowania. A jest to kolekcja niezwykła - prowadzi przez zamyślenie się nad istotą życia, poprzez wzajemne przenikanie się materii, z której wyłania się alienacja, potem milczenie, zastanawianie, aby przejść do zwyczajności.

Najwięcej wierszy znajduje się w rozdziale „W zamyśleniu”. Szkoda tylko, że brak daty pod tymi pięknymi wierszami, wówczas można by porównać, w jakim stopniu zmienił się warsztat pracy autorki. Zwróciłam uwagę na wiersz „W zamyśleniu”. Z jego treści można się zorientować, że podmiot liryczny żegna się z Irlandią, którą nazywa „macochą”: „zostałaś za plecami twój obraz traci ostrość”, we wspomnieniach zostaje „smak gorzko - słony twojej lekcji polskiego” (...), „już nie obca chociaż nigdy swoja wyciszam głosy / zacieram pamięć, dziękuję za piwo z chlebem / wdzięczna za godną pracę i tani dach nad głową”. Irlandia jawi się pozytywnie, a poetka wspomina ją w zamyśleniu. Zaskakuje niezwykła oszczędność słów przy tak bogatej treści i trafność



użytych metafor, na przykład „noc okrywa peleryną nasze ciche pacierze”, „a wieczorem w pubie zawracamy morze”.

Bardzo ciekawy w swej treści jest wiersz „Zderzenie”, który rozpoczyna motto: „Gdy przyjdzie pora czyścić sumienia, wówczas nad prozą się pochylę”. Poetka wraca do przeszłości, którą pragnie zatrzymać: „na trzecim piętrze moja fraza / w kadrze pamięci zatrzymana / teraz tu wracam po wielu latach / dotknąć powąchać coś z przeszłości”. Przeszłość, którą dotyka wspomnieniem - nie jest przyjemna: „obce źrenice szklanych oczu / otwarty wątek nie zachęca / brnę pokonując kolejne strofy / znajduję frazę obco brzmiącą”.

poezja kolekcjonująca stany, obrazy i rekwizyty wyjęte z życia

Wiersze Elżbiety Tylendi posiadają niezwykłą wartość artystyczną i zaspokajają bezinteresowną skłonność autorki do ich kolekcjonowania



Postanawia wrócić do rzeczywistości: „jestem w odwrocie poręcz rozchwiana / stukiem obcasów odmierzam wersy”. Krok po kroku z trzeciego piętra schodzi na parter: „zdobynam parter cuchnący moczem / akompaniament bluźnierstw i smrodu”. Skoro już zeszła do parteru, to znaczy, że pokonała wszystkie etapy wspomnień, co „pozwala szybciej osiągnąć puentę / linią ulicy podkreśloną”. A jak to się ma do rzeczywistości? - „a tu zwyczajnie - ruch marionetek / mistrz je nakręcił w jedną i w drugą”.

Istnieje tajemniczy mistrz słowa, któremu służą marionetki, bo on je nakręca tak, jak czyni to zegarmistrz, który kojarzy nam się z zegarem, a zegar z upływającym czasem. Mistrz słowa tworzy „poezję złudzeń”, którą poetka woli przemilczeć, natomiast „złudzenie poezji zachowam dla siebie” - pisze. Ciekawy jest wiersz „Znaki” ze względu na zawartą w nim treść i budowę. Autorka w swych wierszach często, będąc w zamyśleniu, wraca do przeszłości. Wspomnienia niosą w sobie różną treść - przyjemną i mniej przyjemną. Nie ma tu ruchu, gwaru, za to daje się zauważyć statyczność, stabilność, chociaż nie brakuje ciepła, słońca i uśmiechu: „w miejscu, które mnie pamięta nadal czuję ciepło po wewnętrznej stronie: „jak w opuszczonym domu / kiedy w klepsydrach przesypuję słońce”. Ciekawa metafora miejsca, gdzie „marmurowa powierzchnia oddycha słońca pierś / wabiąc śmieszki leniwym kołysaniem. Śnieg na mrozie przypomina swym blaskiem szlachetne kamienie, stąd wśród zimnych cyrkonii porzucone skrzydło / wygląda jakby anioł zgubił je po drodze”.

Możemy sobie wyobrazić nieważny poranek nad morzem, rześkie powietrze i przenikliwą ciszę. W tej przenikliwej

wiersze najnowsze

Czesław Kowalczyk, Słupsk

TEŃSKNOTA

zieloność irlandzkich łąk jest we mnie
gdy śnieg powracają z melancholią
szare kamienne płoty odgradzające
poletka, urwiste klify Mohanu
chlone soczystość traw z atlantyckim
przyplwem jak uczucia do kobiety
zostawionej w kraju
wiatr obmywa mnie z deszczem
spopielanym nadziei na lepsze
wierzę bo tak wypada kiedy wokół
tyle kościołów, tęsknota
utaplana w błocie Baliholly
łyk ciemnego piwa i już wiesz gdzie
jesteś
W pubie u McDajsa gwar i sączy się
irlandzka muzyka
tak niewiele potrzeba żeby zabić myśli
kilka butelek
aby przestać myśleć
zieloność łąk irlandii zabrałem na zawsze

OBRAZ

przysiadłem z Munchem na krzywym
stopniu schodów
wpatruję się w dal i widzę jego
krzyk przepelniony na wskroś prawdą
prawdą z ciemnych bram
nagich kamienic
posesji przystrojonych rozpaczą
niewidocznych
pijanych zaułków mojego miasta
koślawych ulic i szkaradnie powybijanych
zębów chodnikom
i chciałbym zapomnieć

w takie zaułki zagląda jedynie wiatr
szalony tańczy z puszkami po piwie
z odgłosami zwierzęcych odgłosów
ten obraz jest szary
jak moje życie w tanecznym korowodzie
za i przeciw
wciąż muszę wybierać
między bielą a czernią
kiedyś wybiorą za mnie

Katarzyna Nazaruk, Słupsk

W OGRODACH ZEN

W ogrodach zen
mówią nawet kamienie
pustka
piach

filozoficzne kreacje
potrafią trwać
chłodzić emocje
gamy głupstw
bez których człowiek przestaje być
człowiekiem

ponoć to proste wybaczać
łatwiejsze niż udawać
ponoć łatwiej kochać niż rzucać
piach w oczy
i burzyć harmonię edenu

w ogrodzie zen
nie pamiętam zapachu niezapominajek
a może one nie pachną w mojej pamięci
kwitną nad rzeką oszalałymi błękitem
z żółtym przekornym oczkiem
oprawionym w refleksy wczesnego lata
proporce kwiatów

teraz jestem w ogrodzie zen
przykazanie jedenaste
nie marzyć
dwunaste nie wspominać
trzynaste nie żyć

wychodzę...

ZMAGANIA Z CZASOPRZESTRZENIĄ

Żyję w pośpiechu
z twarzą napiętą
jak bawola skóra
marzę milcząc w próżności
tak kobiecej od trzewi
o tyżeczce refleksyjności
w filiżance karmelowego naparu
odurzającego mocą haszyszu
spokoju
unikającego w każdą przestrzeń komórki
neurotycznego stanu rozluźnienia
bliskiego
po przepłynięciu długości basenu
bosym spacerze po igliwiu
Wciąż zmierzam do stanu optimum
Świadkiem
zdarte fleki obcasów
zmarszczki na pergaminie twarzy
Toczę potyczki z czasoprzestrzenią
by nie tyranizowała moich bliskich
dzianiem się w tempie sprintera
Z mrówczym zaangażowaniem
noszę tylko dobre emocje
jak chnust
na domowe ognisko

Grzegorz Chwieduk, Kępice

RAJ MI W LIPCU WYRÓSŁ

Spotkałem dziewczynę o pełnomlecznej twarzy,
w tunelu dworca, w tłumie ludzi.
Poszedłem od razu na całość,
wyzbywając się mdłego wczoraj.
Zacząłem znów marzyć o tym wszystkim,
czego mi tak bardzo brakowało.
Wiedziałem już, do czego służą usta.
Na skórze kochanki zostawiałem setki
pocałunków,
zapominając o bożym świecie.
Skomlałem o następne spotkanie.
W oczach miałem wieczne lato.
Potulny jak baranek
spełniałem jej życzenia i zachcianki.
Po trzech miesiącach miłość
nadzwyczajna uleciała,
przestała nam obojgu smakować.
Zawsze będziemy dla siebie pytaniem.

BYŁEM NIKOMU NIEPOTRZEBNY

Przyklejony do czarnych ścian
piłem, narzekałem, buntowałem się.
Coraz częściej śniła mi się łaskawa śmierć.
Pojawiła się niespodziewanie kobieta,
która nie odwróciła się ode mnie.
Iwona jest teraz tak mocno obecna,
że nasze prywatne komórki aż stękają
i sapią od wystrzeliwanego słowa „kocham”.
Młodsza o piętnaście lat żoneczka
to moja niekończąca się inspiracja.

Eugenia Ananiewicz, Malęcino

BIAŁY DOM

Biały dom umarł
wraz z nim runął
świat dzieciństwa
nie sposób oswoić
puste miejsce
ciężar prawdy
trudno dźwigać
uparcie powraca
nieuniknione echo wspomnień
a bohaterowie
moich litanii
nie mają wyciosanych
kamieni pamięci

CZY TO JUŻ WIOSNA

Pytasz czy to już wiosna
spójrz na paki bzu
rozbudzone wcześniej
z zimowego snu.

Przebiśnieg już kwitnie
przebił zmarzlinę
śpiew ptaków radosny
przegnał zimę.

Już ją w sercu czuję
choć wiatr zimowy wieje
blask słońca cieszy
i niesie nadzieję.

Ewa Szelańska, Słupsk

MIELNO

Gwiazdy mruganiem przyzywały,
wiatr pędził białogrywe fale.
W morza odwieczny rytm
zastłuchana trwałam -
niepomna chłodu
i krzyku mew.

TEŚKNOTA

Przenieść się tam,
przysiąść jak mewa,
posłuchać szmerów
i fal szelestu,
zatopić wzrok
w płynnym złocie.
Tego pragnę - zawsze.

Anna Boguszewska, Słupsk

TSUNAMI

serca zamarły
jakby świat się zatrzymał
oczy świata zwrócone
na kraj kwitnącej wiśni

koszmarny sen
wizji głębin oceanu
ze świata fantastyki
stał się jawą

ziemia zadrżała
nieziemska siła wyzwoliła
potwora z głębin
niosącego śmierć i zniszczenie

matka natura i jej żywioły
pędzłem tragedii malują
przerazające krajobrazy
jak z końca świata

Wanda Majewicz - Kulon, Bytów

W SERCU MYM WIOSNA

Gdy czułym szelestem
Warg drżenia muśnięciem
Strącasz platynę z mych włosów
Z drzemki się budzą motyle

Gdy szeptem mą nagość
Ukrywasz w swych dłoniach
Płonę
Drżę cała z rozkoszy

W sercu mym wiosna
Purpurą kwitną magnolie
W samym środku jesieni...

UŁOŻONE Z PUZZLI

Ustana gwiazdami noc
Rozmarza mnie tkliwie
Myśli moje splecione
W dwa warkoczyki
Przewiązane błękitem kokardy
Podskakują mysie ogonki
Biegną po schodach
Skrzypiących krokami
Tam gdzie
Stosy szczęśliwych wspomnień
Ułożone z puzzli
Bez troskie dzieciństwo
Gdzie utulone
W pragnienie miłości
Gałgankowe lalki
Uszyte czułością matczynych rąk
W kąciku zastoniętym
Woalem pajęczyn cicho kwilą...

Emilia Zimnicka, Izbica

RANEK

Jasny dzień wstał
nad moją Izbicą
małą wioską na końcu mapy
Stony wiatr rozpędzi
senne mgły nad jeziorem
Słońce się śmieje
promieniami światła i ciepła
Dachy domów błyszczą
ranną rosą
Szept cichych modlitw
Wzłata ku Niebiosom

REFLEKSJE WIELKANOCNE

Przyszła Zmartwychwstała Chrystus
Nie wiem... po raz który...
Do mej Izbicy w ciszę pól wtopionej
W czas Zmartwychwstania
Odkrył tajemnicę
Swojej potęgi
Mocy nieskończonej
Ogarnął wzrokiem...
Wydm złocistych gór
Na toń jeziora
Popatrzył w zadumie
Wysłuchany w polskie rozmodlone tłumy
Do Niebios wzleciał
Nad sosnami boru

Andrzej Szczepanik, Bytów

BO WIATRU ŁAKNĘ

Erato
Ukryta przede mną w wezwaniu
ulotnym jak szept
rozkołysz mi serce i usta wypełnij
brzmieniem słów miłosnych
otocz obłokiem natchnienia
bo wiatru łaknę by rozwinąć skrzydła
lecz wokół mnie cisza
choć łuk myśli napięty jak struna
nie trafił w pamięć strzałą
chcę się pokajać w miłosnej spowiedzi
by słowa nabrały aury prawdy
więc rozgrzesz mnie za ubogość czynu
i skąpą nieśmiałość
co drwiną została w niejednej pamięci

UCIECZKA

W kruchcie samotnej i cichej
siedzę daleki jak szum wiatru
i myśli układam pokrętne
nie rozpaczy szukam lecz porady
wyciągam ręce ku śpiącym obrazom
nasączonym zapachem kadzidel
szepcząc - ora pronobis
chcąc usłyszeć słowa wybaczenia
zostawiam w tej ciszy pokrętność myśli
by uwolnić duszę od balastu przyrzeczeń
poczucia smutku i subiektywnej iluzji

Henryka Jurałowicz-Kurzydło, Słupsk

STARA ŚPIEWKA

„ty pójdziesz górą a ja doliną”
kiedyś ludzie w pieśniach śpiewali
bo nie było nam razem pisane
lecz jakim to piórem spisali
chciałam ci ziemię twardą przemienić
w ogrody róż i zieloność pól
i brzoź wiosennych soki zbierałam
jak boski nektar pić ci dawałam
tyś też mnie kochał ale nie tak...
nie taka była moja potrzeba
ja pochylona nisko nad ziemią
a ty zdradziłeś ziemię dla nieba
co mi zostało cóż mam od życia
garść wspomnień co wplatał w wiersz
obok mnie ciebie już dawno nie ma
została mi tylko ta stara pieśń

Irena Peszkin, Koszalin

ODPOCZYNEK

Kończę codzienne zabieganie.
Na kanapie prostuję zmęczenie.
Jazgot medialny nie pozwala
zagrzać miejsca.

Umykam w cichy zakątek ogrodu.

Tu tylko świerszcze
odurzone oparami wieczoru
koncertują nieprzytomnie.

Wtapiam się w przestwór
wszechświata.
Odlatuję w strefę bezwładu.

Tuż obok mnie
tylko pająk kosmaty
niestrudzenie snuje misterna sieć
- wiadomo w jakim celu

Dobrze
że nie jestem muchą.

Krystyna Pilecka, Koszalin

WIOSNA I MIŁOŚĆ

zielone firanki
dobrych myśli
upiętaś mi na
oczach

czekaniem
niedoścignionym
wymalowałaś niebo
nade mną
rozkołysałaś
gałęzie drzew

jeszcze nagich
pół na pół
a ja... a my...
potem
ze stokrotką w dłoniach
weszliśmy
w nadchodzące jutro
przeznaczone dla nas
właśnie na tę porę
jak z receptą
na udane życie

Aldona Peplińska, Motarzyno

PRAGNIENIE

Daj mi jeszcze tyk, choć jeden
Niech upiję zmysły wszelkie
Daj porywem poruszone
Bicie serca czułe piękne
Niech odfrunę w czar uniesień
Jeszcze chwycę słodki pył
Czarodziejskich szeptów by
Wzbić się wyżej ponad innych
Szczęściem twoim zawsze być
Daj spojrzenie podniecenia
Niech upaja dzban rozkoszy
By odnaleźć zagubiony
Koral miłości
Bym w samotności
Wspomnieniem czułym
Okryła błogię tęskniące myśli

W księżycu blasku rozanielona
Czekała chwili
Gdy znów się przyśnisz

Jan Stanisław Smalewski, Naćmierz

PRZEDWIOŚNIE

A kiedy się rozstąpią śniegi
i wszystko będzie już wiadomo
- czym się objawi naszej ziemi łono.
Ziamem nadziei w pszenicznym korcu wiosny
czy nieużytkiem kosztowanym słono
Staniemy inni Bardziej spięci
Bardziej niż podczas skucia lodem
gotowi aby się zęsuwować
aby swą grzeszność pokutować

Aby się wtrybić wżębić worac
w ugor od nowa wciąż orany
Albo też maszerować
- szlaki przecierać nie przetarte

Byłem tam Wiem To co w młodości
na skrótę żeśmy wydeptali
dawno porosły trawy osty
Czas to już zatarł i zataił

A kiedy się roztopią śniegi
i wszystko stanie się wiadome
znajdziemy sobie nowe drogi
i zapłacimy - potem słonym

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

OGARNEJ TEN MOKRY PONIEDZIAŁEK

Katarzynie Prusińskiej

Zostań w tej myśli jak złocisty motyl
wybiera kwiat i siada - może też pisze wiersz.

Rozlewa się rzeka - jakby ziewała,
pamiętam Narew, łąki i gęsi stada.

Byłem wówczas podlotkiem z gęstą czupryną,
chodziłem z gitarą nie wiem po co,
nikomu serenad nie śpiewałem.

Ty Katarzyno byłaś na rysunku,
malowana przez anonimowych aniołów.
- Czułem ciebie w trawie i w korze sosnowej.

Nawet kiedy spojrziałem na chodniku w kałuży,
zawsze obok ty - jako dobry duch z nieba
ogrodów!

- Bądź opiekunką moich dni; poeta jest
samotny,
pisze tylko wiersze, wciąż dla ech
powracających.

NAD RZEKĄ MIŁOŚCI

Motto: „Tam, za rzeką, dwa głosy nucą pieśń miłosną”.
Katarzyna Prusińska

Jeśli byłaś tam ze mną, co zapamiętałaś żono?

Szare zakłęcia krzątają się pobocznymi ścieżkami,
miłości się nie widzi głębiej niż oczy widzą.
Szeleści motyl nad nami, wbija się w podniebne czułości.

Ale jest zakręt ostrej myśli, ile potrwa ta jałmużna światła.

Sączę z wiśni sok, by go przekazać w twoje usta,
trawy zaspane na łąkach w potulnej ciszy - delikatnie
rozbrzmiewa echo twoich bosych stóp aż do zmierzchu.

Nagromadziły się pytania wobec drzew tam rosnących.

Wierzby płaczące bliżej stada gęsi akurat się uśmiechają,
oparłaś się o jedno z nich, jakbyś czekała na czuły gest.
Jednak zajęty byłem zbieraniem leżących tam kamyczków.

Jeśli się oddaliłem w kierunku rzeki, o czym myślałaś żono?

Mógłbym wytłumaczyć to nagłe zniknięcie stamtąd -
obolały krzyż z drewna minąłem na drodze, jakbym usłyszał
czyjś głos za mną, nie obejrzałem się; horyzont mnie witał.

- Czy powrócimy kiedyś Katarzyno nad Rzekę Miłości?

ciszy słysząc pękające słowa tak kruche, że nie mogą same wyostać się na zewnątrz. Zaskakują nas epitety i porania ciska, pękające słowa, które słyszą. Świadczą one o subtelnej kulturze poetyki, jej prostocie i poetyckiej wirtuozerii. Ostatnia zwrotka wiersza nawiązuje do pierwszej: „muszę wrócić do miejsca które mnie pamięta” - to miejsce, to zapewne znak czasu, który poetka obejmuje wspomnieniem, ponieważ jest to miejsce szczególne, o którym się mówi że każdy ma swoje”. A jakie to jest miejsce? - „tam będę układać na białych pokrowcach / pamięć z kamieni zebranych na brzegu”.

Ostatnia metafora zaskakuje nas swoją oryginalnością i dotyczy czasu przeszłego: „będę układać (...) pamięć z kamieni zebranych na brzegu”. Czuje się w tym wierszu stony oddech morza („oddycha słońca piersią / wabiąc śmieszki leniwym kołysaniem”). Jego tajemniczość i grozę, żywioł i spokój, który panuje po sztormie, a także odcisnięte ślady obecności człowieka na brzegu, gdzie kamienie mogłyby opowiadać niejedną historię.

We wstępie do „Kolekcji” Jerzy Beniamin Zimny pisze między innymi: „W poezji Elżbiety Tyłendy istotną rolę odgrywa czas, z jednej strony traktowany bardzo osobiście, z drugiej - obecny także w wymiarze społecznym. (...) Podmiot deklaruje swój dystans do tego, o czym mówi, co opisuje z pietyzmem, nie szczędząc przy tym pięknego języka, zmierzając do uderzającej puenty, uniwersalnej w przestaniu, niezadko ironicznej i stroniącej od banału. (...) Z wierszy tchnie

optymizm, nadzieja: jednak nadzieja mimo jej pozornego braku. Szukający wsparcia znajdują je w tej poezji kolekcjonującej najlepsze stany, obrazy i rekwizyty wyjęte z życia, niekiedy wydawałoby się, pozbawionego szans na lepsze. Nie mam wątpliwości, że jest to dojrzały debiut ukształtowanej poetki. (...) Autorka nadaje kształt pojęciu przemieniania za pomocą miejsc i zdarzeń charakterystycznych dla każdego okresu życia podmiotu. Widzimy tutaj kolekcję obrazów z obiektami istotnymi dla autorki, w wiernie oddającym klimacie.

Janina Szołtysek pisze między innymi: „Obok poezji Elżbiety Tyłendy nie można przejść obojętnie. Poetka poprzez konwencję „zwyczajnej rozmowy „w sposób dyskretny wprowadza odbiorcę w swój świat. Poezja zachwyca dojrzałością wypowiedzi autentyzmem przeżycia, prawdziwością w kadrze pamięci miejsc i nigdy nie pozostawionych na „zapleczu ludzi”. W konkretnej przestrzeni autorka snuje poetycką, spójną opowieść o przemijającym czasie i „kurczącym się terytorium”.

Autorka „Kolekcji” mieszka w Darłowie. Wielokrotnie była wyróżniana i nagradzana w ogólnopolskich konkursach literackich. Jej utwory ukazały się drukiem w zbiorach i antologiach pokonkursowych.

Jadwiga Michalak, Naémierz

Elżbieta Tyłenda, „Kolekcja”, ZPW-DRUK Janusz Muszyński, Wągrowiec.

antologia poezji kaszubskiej



W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Słupsku promowano drugą część antologii poezji kaszubskiej „Skrë ùsòdzkòwi mòcë”, obejmującej twórczość poetów w latach 1991-2008

Książkę wydało w języku kaszubskim Wydawnictwo „Region” z Gdyni. Na ostatnich jej stronach zamieszczono słowniczek trudniejszych wyrazów i zwrotów kaszubskojęzycznych oraz indeks alfabetyczny utworów. Wstęp napisał prof. Daniel Kalinowski (wykładowca Akademii Pomorskiej w Słupsku). Wyboru wierszy (ponad dwustu pięćdziesięciu) dokonał Grzegorz Schramke, współautor pierwszej części „Dzëczë gäsë”, która ukazała się w 2006 roku - też w Wydawnictwie „Region”.

Spotkanie promocyjne w bibliotece otworzył prof. Daniel Kalinowski, który z doskonałością znawcy, przedstawił swoje poglądy na temat poezji kaszubskiej. Nie zabrakło polemiki. Prof. Akademii Pomorskiej Anna Skotnicka wyraziła swoje odczucia związane z publikacją, prezentując jeden z wierszy Romana Drzeżdżona. Imprezę uatrakcyjniła obecność poetów, pisarzy i regionalistów. Wiersze z najnowszego tomu recytowała Karolina Keler oraz Marian Majkowski. Niespodziewanym gościem był Roman Drzeżdżon - kaszubski pisarz, satyryk i publicysta. Do swojej wypowiedzi wplótł mnóstwo humoru.

Danuta Sroka

Miejska Biblioteka Publiczna w Słupsku



aby ustrzegła was opatrność...



*Wspomnienia z workuc-
kiego więzienia Józefa
Wojciechowskiego, spisa-
ne ręką Jana Stanisława
Smalewskiego - to lektura
niezwykła. Nie jest to tylko
opis losów jednego boha-
tera, wielu Polaków nale-
żących do Armii Krajowej
było w podobnej sytuacji*

Józef Wojciechowski zdecydował się opowiedzieć o swoich losach, aby zostawić świadectwo przyszłym pokoleniom. Był jednym z siedmiorga dzieci swoich rodziców - Adolfa i Karoliny Wojciechowskich. Cała siódemka miała niezwykle życiorysy. Większość to oficerowie lub żony oficerów. On był studentem drugiego roku prawa na Uniwersytecie Lwowskim, gdy wybuchła II wojna światowa. Jako podchorąży rezerwy wziął udział w kampanii wrześniowej i walczył w 49. Kołomyjskim Pułku Piechoty. Po powrocie z kampanii do Podhajec zaangażował się w działalność podziemną AK, do której należał po wkroczeniu Armii Czerwonej. 17 stycznia 1945 roku został aresztowany przez NKWD, osądzony i 25 sierpnia został skazany na 15 lat więzienia. Dopiero po śmierci Stalina, jedenastu latach pobytu na Workucie, zrehabilitowany i ułaskawiony wrócił do kraju.

W nocy z 9 na 10 lutego 1940 roku przeprowadzono na Kresach pierwszą masową akcję deportacyjną. Wywieziono na Sybir tysiące polskich rodzin. 13 kwietnia była kolejna wywózka, tym razem rodzin aresztowanych uprzednio oficerów i urzędników. Wśród deportowanych znalazła się siostra Józefa Wojciechowskiego, Maria Zarębina z dwójką małych dzieci. Zgodził się jej towarzyszyć na ochotnika najmłodszy brat - Aleksander. Bracia pana Józefa - Jan i Michał byli już w niemieckiej niewoli, przez przypadek znaleźli się w jednym obozie w Woldenbergu. Mąż Marii został wywieziony do Starobielska. Ta wywózka to jedna z najpotworniejszych zbrodni przeciwko ludzkości jaką zaplanował Stalin, który mścił się za 1920 rok, za „cud nad Wisłą”, zwycięski dla Polaków. Mąż Marii, inżynier Tadeusz Zaręba wzięty został do niewoli sowieckiej w 1939 roku, a później był internowany w obozie starobielskim. Gdy wywożono Marię wraz z dwójką małych dzieci, prawdopodobnie jej mąż już nie żył, ale wiadomość ta dotarła do rodziny dopiero w 1943 roku. Sytuacja Marii była tragiczna. Aleksander podjął decyzję, że pojedzie z siostrą. Dobrowolnie znalazł się w wagonie towarowym. Po dwóch tygodniach transport dotarł do Dżuruma w Kazachstanie. Dalej przewożono zesańców ciężarówkami do Tymiru. Ostatecznie Maria

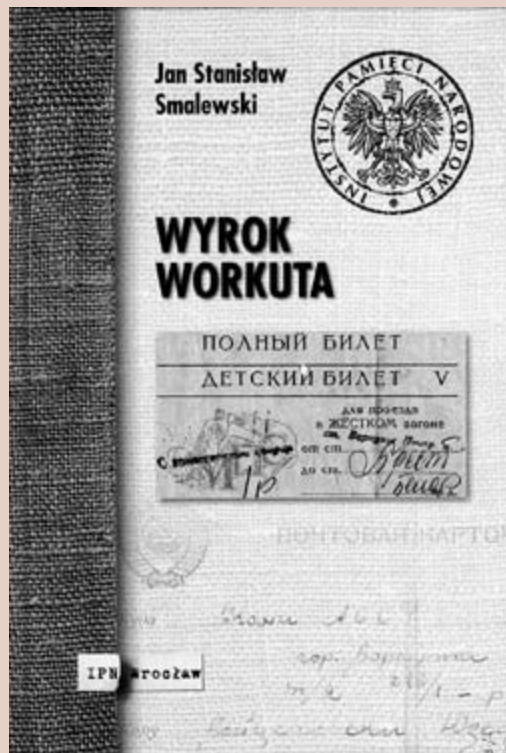
trafiła do kołchozu imienia Kaganowicza w tymirskim rejonie. Gdyby nie pomoc od rodzin w formie paczek, prawdopodobnie nie przeżyłoby. Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej obudził nadzieje polskich zesańców. Aleksander zgłosił się do polskiego wojska i został przyjęty.

Z wybuchem wojny Józef Wojciechowski zmobilizowany został jako podchorąży rezerwy do swojego macierzystego 49. Pułku Kołomyjskiego, skierowanego do działań bojowych w składzie Armii Karpaty. Do Armii Krajowej Józef wstąpił w październiku 1942 roku. Powierzono mu funkcję dowódcy plutonu, musiał sobie dobrać kadrę. Podejmując się działalności konspiracyjnej zdawał sobie sprawę z tego, że na tym terenie Ukraińcy mieli ogromną siłę. Planowanie z nimi bezpośredniej walki nie miało sensu. Niemcy nie wtrącali się do tego, co wyczyniali Ukraińcy z Polakami. Pod koniec 1942 roku rozpoczęły się okropne mordy ludności polskiej. AK musiała zareagować - przyjęła na siebie organizację samoobrony. - Józef stwierdza między innymi: „Może to zabrzmieć jak bluźnierstwo, ale tyle co w tych latach ucierpieliśmy - najpierw od Sowietów, a potem od Ukraińców - to od Niemców nie wycierpieliśmy.” (str. 55)

Gdy w 1944 roku Rosjanie zaczęli gromić Niemców - wyniknął problem, co w tej sytuacji ma zrobić AK. Przyszedł rozkaz na piśmie, żeby działalność akowską zamknąć. AK była organizacją konspiracyjną, skierowaną przeciwko Niemcom, a oni już zostali wyparci. Formalnie więc organizację rozwiązano, ale na terenie Podhajec broni nie oddano, zachowując ją na wypadek zaognienia się znów sytuacji z Ukraińcami.

Na przełomie listopada i grudnia 1944 roku dotarły do Polaków wiadomości o pierwszych aresztowaniach byłych żołnierzy AK. Stopniowo przybrały one charakter masowy. 6 stycznia 1945 roku w nagonce na AK aresztowano we Lwowie około pięciu tysięcy akowców. Do dziś nie wiadomo, kto KGB udostępnił wykazy działaczy AK, ponieważ wiedzieli o nich wszystko, co ułatwiło im planowe aresztowania. 17 stycznia 1945 roku na terenie Podhajec aresztowany został komendant obwodu na Podhajce i powiat - Zbigniew Lis. Po Józefa przyszli w następnej kolejności. W nocy, w tym samym czasie aresztowano pozostałych akowców.

Po aresztowaniu zgromadzono akowców w areszcie śledczym, a po dwóch, trzech tygodniach, przewieziono do Czortkowa na Podolu. Tam ich osadzono w więzieniu. Przetrzymano nie tylko akowców. Byli tam również Ukraińcy, którzy stawili opór Sowietom. Oni tam dominowali. W celi były dwie grupy więźniów: przy jednej ścianie Ukraińcy, a po przeciwległej - Polacy. Ukraińców było więcej. Józef rozchorował się na tyfus. Podczas trwania choroby przeniesiono go do małej komórki z drewnianą pryczą do środka i tam zostawiono. Leżał tak nieprzytomny przez kilka dni. Bez żadnej pomocy, bez lekarza i leków. Zdany tylko na Boga i samego siebie. Ta śmiertelna choroba być może oszczędziła cierpień w śledztwie. Żona mogła mu tylko przy-



wieź zmianę bielizny, paczkę żywnościową i wszyty w bielinę gryps. To wszystko mogła podać przez strażników.

Na wiosnę Ukraińców ubyto z celi i liczebnie sytuacja się wyrównała. Rozprawa sądowa trwała trzy dni. Było to pod koniec sierpnia. Józefa Wojciechowskiego skazano na piętnaście lat katorgi. Usłyszał wyrok: Workuta. Jaki cel miały zsyłki na Syberię? Jak pisze Jan Stanisław Smalewski: „To był cały system organizacyjnie powiązanych ze sobą przedsięwzięć. Sowietci budowali przecież komunizm, a do tego potrzebne im były olbrzymie rzesze niewolników. Zwłaszcza tam, gdzie panowały ekstremalne warunki klimatyczne, i gdzie znajdowały się bogate złoża surowców, których wydobywać się nie dało. W tym celu ZSRR potrzebował więźniów, tysiacy więźniów do kopalń złota, uranu, węgla...” (str. 76)

Na Workutę trafił na początku 1946 roku. Podróż odbył w bydlęcych wagonach. W takim wagonie było pięćdziesiąt osób. Józef był sam jeden wśród Ukraińców. Podróż trwała ponad dwa tygodnie. Workuta - w języku tubylczym - niedźwiedzia jama. Miasto położone w Rosji, w republice Komi nad rzeką Workuta; 160 kilometrów od kola podbiegunowego. Powstało w latach trzydziestych XX wieku jako osada gór-

zobowiązanie, że nie będzie nikomu rozpowiadać o tym, co przeżył w łagrach. Zalecono szczególną powściągliwość. Po-tem otrzymał karty repatriacyjne, jako dokumenty upoważniające do „zameldowania przy rodzinie” i wydania dowodów osobistych. Otrzymał również 1000 złotych zapomogi. Dostał darmowy bilet do domu, do Bolkowa, gdzie mieszkała jego żona z córką.

Od 1983 roku Józef spotykał się z innymi towarzyszami niedoli na zjazdach łagierników. Te spotkania odbywały się w wielu miastach Polski. Związek łagierników oficjalnie zalegalizowano dopiero w 1991 roku. Wywiad - rzeka, czyli historia życia Józefa Wojciechowskiego została spisana przez Jana Stanisława Smalewskiego na okoliczność szczególną: jego pięćdziesięciolecie powrotu z łagrów do Ojczyzny. Sprawił to zupełny przypadek.

Józef sądzi, że do historii należy wracać jedynie ku przestrodze, aby pokazać jak nie należy postępować wobec współbraci. Przejście przez sowieckie piekło pozwoliło spojrzeć mu inaczej na życie.

Twierdzi, że człowiek musi umieć dostosować się do realiów, bo takie jest życie. A dewiza życiowa naszego bohatera



nicza, zbudowana przez więźniów politycznych zsyłanych w tamten rejon do łagrów. Był to największy rejon w europejskiej części ZSRR obozów pracy przymusowej, jeden z głównych centrów stalinowskiego ГУЛАГУ. Występujący tu klimat podbiegunowy charakteryzują długie zimy (do dziewięciu miesięcy) i silne mrozy (do -50° C). Lata 1946-1948 to był okres wyjątkowo nieludzkiego, katorżniczego, koszmarnego traktowania więźniów. Śmiertelność w łagrach była olbrzymia, nikt się tym nie przejmował, żadne obozowe władze nie były z tego rozliczane. Szalał wtedy szkorbut. Po roku pięćdziesiątym sytuacja więźniów się trochę poprawiła. Zadbano zwłaszcza o stan sanitarny łagrów. Lepiej ubrano więźniów. Dostali po dwa komplety odzieży - jeden roboczy i drugi na zmianę, schludniejszy, czystszy.

Na przełomie 1948/49 roku powstało NATO i Polaków przeniesiono do obiektów o obostrzonych rygorach. Jawnie działała już NKWD. W latach 1951-1953 objętych przymusową pracą na terytorium ZSRR było czterdzieści milionów ludzi. Skazańców dzielono na „zeków”, tych do dziesięciu lat i „katorżników” - tych z wyrokami ponad dziesięcioletnimi. Józef mógł siebie uważać za katorżnika. Do Polski powrócił w maju 1956 roku. Pamięta chwilę, gdy przyszło zgłosić się w UB. Tam odbywały się przesłuchania. Musiał podpisać

to: być przydatnym dla bliskich i społeczeństwa, a także należy być odpowiedzialnym za swoje czyny, słowa, życie. Ostatnia refleksja Józefa: „Mogę z podniesionym czołem, tak w swoim imieniu, jak i tych, co ze mną przeżyli sowieckie łagry powtórzyć za ulubionym poetą Słowackim „żem dla Ojczyzny sterał swoje lata młode, a póki okręt walczył - siedziałem na maszcie, a gdy tonął - z okrętem poszedłem pod wodę...” „Taki był wyrok Historii - stwierdza Józef - straciliśmy Kresy, poszły pod wodę jak okręt z wiersza Słowackiego. Zalało je morze, a raczej cały czerwony ocean...”

Ogromne wzruszenie przeżył Józef Wojciechowski w 1984 roku, kiedy to londyńskie Koło Byłych Żołnierzy AK przesało mu zaświadczenie, że walczył w jej szeregach. Wśród odznaczeń posiada między innymi Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami nadany przez Rząd Emigracyjny w Londynie.

Opowieść swą Józef Wojciechowski kieruje do przyszłych pokoleń: „aby Opatrzność ustrzegła Was, Drodzy Czytelnicy, od takiego nieszczęścia, jakiego doznało pokolenie Józefa Wojciechowskiego: wojny, zdrady, niewoli, totalitaryzmu i niewysłowionych cierpień.”

Jadwiga Michalak, Naémierz

Jan Stanisław Smalewski, *Wyrok Workuta, Triada Druk, Białystok 2007.*

to cuda czynią wiarę

Chcę spłacić dług wdzięczności tym, którzy mnie wspierali, ale przede wszystkim tym, o których musiałem milczeć. Bo nic tak nie kusi, jak dochodzenie do prawdy



Jestem przekorny i dlatego twierdzę, że to cuda umacniają wiarę. Każdy katolik zna przecież cuda czynione przez Chrystusa, każdemu znane są dziesiątki cudów, jakie z woli Boga zdarzyły się na ziemi. Moja przekora czasami przeszkadzała mi w życiu, ale i wielokrotnie była pomocną. Pomagała zrozumieć wewnętrzne bunty, jakie rodziły się, gdy trudno było pogodzić się z absurdalnymi sytuacjami, jakich wokół dostarczało życie. Dzięki niej łatwiej mi było rozumieć innych, tak zwanych odszczepieńców, których władze PRL nie akceptowały: żołnierzy Andersa, Akowców, zesłańców Sybiru, opozycjonistów „Solidarności”. Nieufność do władzy ludowej nosiłem w sobie od wczesnych lat młodości, gdy tylko zacząłem wątpić, czy moi krewni, wuj Janek Wasilewski i stryj Franciszek Smalec naprawdę zasługują na miano żołnierzy wyklętych. Wujek Janek uszedł śmierci z rąk Sowietów na Syberii, dostał się do armii generała Andersa, z którą potem przeszedł cały szlak bojowy, walczył pod Monte Cassino. Stryj Franciszek był podoficerem artylerii w Bryga-

dzie Pancерnej generała Maczka. Po wojnie obaj pozostali „za granicą”. Wuj w Anglii, a stryj w Kanadzie.

Urodziłem się w rodzinie osadników wiejskich w Ślizowie w 1946 roku. Gdy podrosłem na tyle, by zainteresować się krewnymi, babcia Cecylia Wasilewska wtajemniczyła mnie w ich życiowe historie. Jej opowieści jednak o tym, że wujek Janek ważył po ucieczce Sowietom 39 kilogramów, że wozili go w klatce jak zwierzątko, że wszy zgarniał z siebie rękami, odbierałem jako jedną z przerażających bajek, którymi, gdy nie byłem grzeczny, często mnie raczyła.

Kiedy już zacząłem odróżniać fałsz od prawdy, wydawało mi się, że moi rodzice dlatego nie prowadzą korespondencji z krewnymi, bo życie na wsi nakłada na nich zbyt wiele obowiązków. Znaleźć czas na pisanie listów do krajów, które były przecież tak odległe, nie było łatwo. Dopóty nie mogłem zrozumieć, dlaczego moi rodzice nie mogą tych faktów ujawnić znajomym, dopóki nie podjąłem osobistej decyzji, że po skończeniu szkoły średniej nie pozostanę na wsi. Aby się z niej wyrwać, i tak jak mój stryj i wuj doświadczyć wojskowego życia i szerokiego świata, zdecydowałem się na szkołę oficerską. Składając tam papiery musiałem pierwszy raz w życiu oprzeć się na kłamstwie, napisać, że nikogo z bliskiej ani dalszej rodziny nie mam za granicą. Rok później przy pierwszych egzaminach dotarła do mnie i moich kolegów porażająca wiadomość: kontrwywiad wojskowy ustalił, że kilku podchorążych oszukało socjalistyczne państwo, ma rodziny za granicą, mało tego, są to byli żołnierze Andersa. Podchorążym tym zaliczono służbę wojskową i usunięto ich ze szkoły. Ja odtąd, do czasu jej zakończenia, żyłem w ciągłej niepewności, czy wszechobecny wywiad wojskowy nie dotrze w końcu i do mojej prawdy. W ukrywaniu jej czułem nawet pewne zadowolenie, bo było w tym trochę zabawy w podchody, które chciałem wygrać. Po każdej przepustce do rodzinnego domu dowiadywałem się przecież od matki, że miejscowy milicjant zbierał informacje na mój temat. Interesowało go z kim się spotykałem, czy chodziłem do kościoła. Pod stałą obserwacją byli moi rodzice. Ojca o nic nie podejrzewano, bo był niepiśmienny, a matkę... , przecież była gospodynią domową, kobietą ze wsi. Prócz ciężkiej pracy na gospodarce, wychowywała jeszcze trzy córki. Na wszelki wypadek moja matka, która w przeciwieństwie do ojca sieroty wychowanej przez lokalny majątek ziemski hrabięgo, była kobietą wykształconą i niezwykle czytającą, wręcz wyróżniająca się w społeczności wiejskiej, ustaliła z krewnymi, że listy pisać będą do jej siostry zamieszkującej w Radomiu, a ta o tym, co u nich słycać, powiadamiać ją będzie w swoich listach. Listów z zagranicy do moich rodziców nie przysyłało.

Dopiero za czasów Gierka w kraju zaistniały warunki do tego, by moi rodzice mogli zobaczyć się ze swoimi zagranicznymi krewnymi, wyrzuconymi przez wichry wojny poza obręb polskiej społeczności. Wuj Janek przyjechał do mojej rodzinnej wsi w towarzystwie wujostwa z Radomia, a ja... Byłem już wtedy porucznikiem. Podczas urlopu pomagałem rodzicom, jak za dawnych lat, w pracach żniwnych. Na jego przyjazd wskoczyłem w mundur. Pamiętam, że pierwsze co mnie uderzyło, to fakt iż jest bardzo podobny do mojej matki. Drugie, to jego radosne oblicze i żywe oczy, które na widok polskiego munduru zaszklily się. Wuj nie mógł opanować łez. Nazywał mnie kapitanem, bo, jak mówił, za jego czasów trzy gwiazdki oznaczały stopień kapitana. Opowiedział

mi potem, że u nich w Anglii, mimo szacunku do Polaków, żaden z jego dwóch synów nie mógł zostać oficerem, ta szarża nie była dostępna dla Polaków. Moi kuzyni - Kajetan i Kazimierz byli podoficerami zawodowymi w Bundesmarines w NATO. Nie wiedziałem tego nawet. Jak to? Poraziło mnie, że w razie wojny, do której ciągle nas przygotowywano, mogliśmy stanąć po przeciwnej stronie barykady...

Wuj Janek przekroczył dawno dziewięćdziesiątkę, żyje nadal w Londynie. Stryja nigdy nie zobaczyłem. Zmarł niedawno w Calbery. Ucieszyła mnie jedynie wiadomość, że udało się to mojemu ojcu, gdy któregoś lata po stanie wojennym w Polsce, stryj przyjechał odwiedzić swoje rodzinne strony, dokąd jedna z moich sióstr Urszula ojca dowiozła. Powiem jedynie, że od czasu stanu wojennego prowadziłem z nim długą korespondencję.

Moją zabawę w podchody z ukrywaniem krewnych wygrałem, zostałem oficerem. Teraz chcę spłacić dług wdzięczności tym, którzy mnie wspierali, ale przede wszystkim tym, o których musiałem milczeć. Bo nic tak nie kusi, jak dochodzenie do prawdy. I nic tak nie czyni wiary jak cuda. Cudem było, że udało się przeżyć wojnę moim krewnym, wujowi Jankowi i stryjowi Frankowi. Cudem było, że moi rodzice mogli się z nimi wreszcie po długich latach rozłąki zobaczyć. Cudem było, że ja mogłem dotknąć dłoni chociaż jednego z tych bohaterów i skonfrontować wpajane mi w socjalistycznej armii przez lata „jedynie słuszne poglądy i prawdy”. Tych

cudów było jeszcze wiele, ale najważniejszymi z nich, jakie się dokonały w obliczu historii, umacniając wiarę polskiego narodu, były wybór Polaka na papieża i powstanie „Solidarności”. Ja ponownie zweryfikowany oficer LWP, pułkownik WP (złożyłem nową przysięgę), doświadczyłem jeszcze jednego cudu: mogłem zakończyć swoją służbę w takiej armii, za jaką walczyli moi krewni - wuj Janek i stryj Franciszek.

W armii nie piastowałem stanowisk, od których zależały sprawy wielkie, strategiczne. Byłem jednym z „podwładnych wyższego szczebla dowodzenia”. Mój brak pokory pozostał jedynie w sferze psychicznej. Jeśli się objawiała ta moja niepokorna dusza, to tylko w takim zakresie, bym sobie na co dzień zanadto nie zaszkodził; za jawne nieposłuszeństwo groziło przecież nawet wydalenie z armii. Dlatego kolejnym cudem, jakiego doświadczyłem, był fakt, że znalazł się ktoś taki, kto w swoich przekonaniach i działaniach poszedł dalej. Stojąc wyżej w hierarchii wojskowej sprzeniewierzył się naszej powszechnej niewoli wewnętrznej, złamał psychiczne nastawienie, że ideałem polskiej armii jest do końca świata trwanie przy boku wasala: wielkiego ZSRR, a jedynym szczęściem dla zniewolonego narodu polskiego może być komunizm. Chylę czoła przed nim, pisząc te słowa, dla mnie to największy bohater od czasów Józefa Piłsudskiego. Tak, to pułkownik Ryszard Kukliński.

Jan Stanisław Smalewski
Naémierz

inny portret idola



Był artystą tolerowanym, poprawnym. Nie nagrywano jego płyt, nie zaistniał w mediach, nie wydawano jego poezji. Dopiero po otwarciu teatru Na Tagance, stał się jego gwiazdą



Niepozorny blondyn o zielonych oczach, mierzący 170 centymetrów wzrostu nie wyróżniał się początkowo niczym. Władimir Wysocki, bo o nim mowa, prosił swoje liczne partnerki życiowe, by nie stawały obok niego - były bowiem przeważnie wyższe. Ubrania, w których chodził, prezentowały się fatalnie. Pochodziły przeważnie z darów ojca - oficera radzieckiej armii okupacyjnej, odbywającego służbę w Niemczech.

Urodził się w 1938 roku. Po ukończeniu studiów początkowo grywał marne rólki w przedstawieniach dla dzieci. Marne grał na gitarze, kiepsko śpiewał. Uznanie słuchaczy zyskał w chwili, gdy zaczął używać charakterystycznej chrypki, co przyczyniło się do rozgłosu i sławy. Jego pierwszą żoną była studentka z Kijowa - Iza Żukowa. Po ukończeniu studiów, zaangażowany do Teatru im. Puszkina w Moskwie, szybko zapomniał o żonie i po dwóch latach małżeństwa będącego fikcją, w 1967 roku rozwiódł się, zwalając winę na nawet pracy, odległość która ich dzieliła i brak czasu na kontynuację związku.

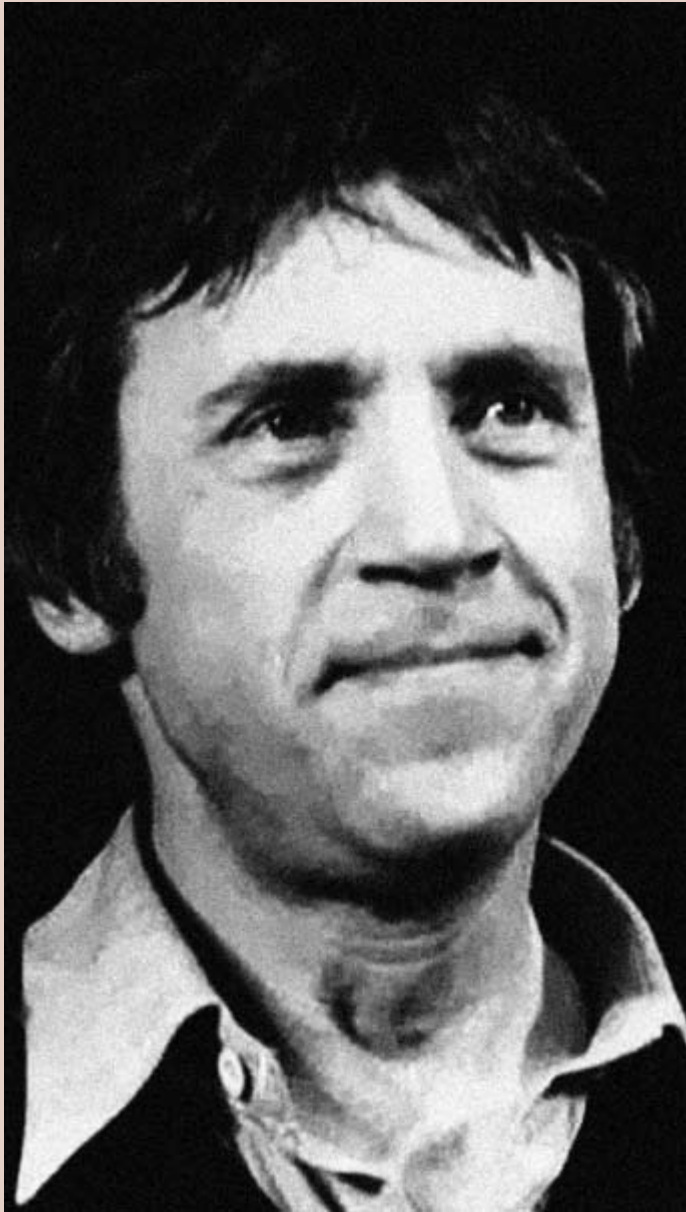
W 1961 roku nakręcał w Leningradzie swój pierwszy film. Większość czasu spędzał w restauracji hotelu „Europejski”, upijając się do nieprzytomności, wszczynając awantury i biatyki. W czasie jednej z nich udało mu się przekonać nieznaną mu mieszkankę hotelu, by uregulowała jego długi. Po

wspólnie spędzonej nocy zaproponował jej małżeństwo (!) i w 1965 roku... wzięli ślub. Studentka Instytutu Kinematografii w Moskwie, Ludmiła Abramowa była tą, która zastawiła w lombardzie złoty pierścionek, by spłacić dług Wysockiego, kochała go szaleńczo. Urodziła mu dwóch synów - Arkadija i Nikitę. W tym czasie Władimir Wysocki rozpoczął swoje pierwsze publiczne występy.

Był artystą tolerowanym, poprawnym. Nie nagrywano jego płyt, nie zaistniał w mediach, nie wydawano jego poezji. Dopiero po otwarciu teatru Na Tagance, stał się jego gwiazdą. W tym czasie w Związku Radzieckim zrodził się mit aktora - poety zakazanego. Ten mit istotny wpływ na kształtowanie opinii o aktorstwie Wysockiego. Będąc już znanym i sławnym aktorem, pieśniarzem i poetą, Wysocki popadł w nałóg alkoholowy. Panująca w Związku Radzieckim subkultura picia zezwalała na pijaństwo w pracy, na ulicach, uroczystościach państwowych. Abstynenci byli źle widziani. Ten styl życia, popierany był przez wszystkich, nie wyłączała członków KC KPZR z Leonidem Breżniewem na czele. W jednej z wypowiedzi radziecki przywódca stwierdził: „Wolę pijanego Wysockiego, przy którego piosenkach dobrze się klaszcze, od innych”.

W 1964 roku Wysocki po raz pierwszy próbował popełnić samobójstwo. W milicyjnej izbie wytrzeźwień powiesił

się na pasku od spodni. Próbował jeszcze kilkakrotnie, lecz w porę udawało się uratować go od śmierci. Zakochana w nim żona Ludmiła wierzyła, że uda się go uratować, pomimo iż znała jego pijackie i seksualne orgie. Odmawiała udziału w proponowanych jej rolach filmowych, nie chcąc zaniedbać opieki nad dwoma synami. Wysocki nawiązuje następne romanse, między innymi z aktorką Larisą Łużyńą, a potem Tatią Iwanienko, która urodziła mu córkę Anastazję. W 1970 roku rozwodzi się z żoną Ludmiłą Abramową. Proces rozwodowy trwał pięć minut! W grudniu tegoż roku żeni się po raz



kolejny. Wybranką zostaje słynna gwiazda kina francuskiego, Marina Vlady. W czasie festiwalu filmowego w Moskwie, urzeczona jego „spojrzeniem, głosem i gitarą”, zgodziła się na spotkanie i uszczęśliwia - jak potem napisze - źle ubranego, nieradzącego sobie ze sztucami rosyjskiego artystę, kupując mu w prezencie ślubnym oryginalne dżinsy!

Vlady w listach do Włodimira pisze: „Czuję jak bardzo mnie pragniesz, jaki jesteś niecierpliwy. Wiem, że noc nie wystarczy byśmy pojęli, co nas łączy”. Ich miłość nigdy nie znalazła uznania w ZSRR. Uważano, że zdradził Rosję z kapitalistyczną, zachodnią gwiazdą. Ale ta gwiazda, mieszkająca już w Moskwie, zaczęła wczuwać się w rolę kobiety radzieckiej. W maju 1968 roku Marina Vlady wstąpiła do Komunistycznej Partii Francji. W wyniku tego sekretarz KC KPZR Breżniew nakazał wydać jej paszport i nie utrudniać podróży. Wysocki

nie dostrzegł jej starań. Pił nadal, coraz częściej i więcej. Odwoływał swoje występy, pijąc do utraty przytomności w melinach wspólnie ze swoimi „przyjaciółmi”.

Przeżywając udrękę Marina przywozi mężowi z Paryża esperal. Aby przekonać go do leczenia, prosi, aby wszył lekarstwo jej. Doprowadza do rozpoczęcia leczenia męża w klinice dla schizofreników, gdzie uratowano go w trakcie śmierci klinicznej. Rozpoczęto jednocześnie terapię narkotykową, w efekcie której doprowadzono go do stanu głodu narkotycznego.

W 1973 roku Wysocki opuszczają Moskwę, udając się do Paryża. Marina ma nadzieję na wyleczenie męża, jednak Wysocki zarażony wirusem „homo sovieticus” nie toleruje zachodniej inności. Traktowany jako „rosyjski szansonista i aktorzyna” - mąż swojej żony, obcy i nieznany tęskni za Rosją i jej klimatem artystycznym. Jego kult skończył się na granicy polsko-enerdowskiej. Stęskniony szybko odnajduje rosyjskich emigrantów, praktykujących alkoholików. Organizuje wielodobowe balangi pijackie, w wyniku czego w 1980 roku trafia do kliniki psychiatrycznej w Paryżu.

W trakcie podróży na trasie Moskwa - Paryż przewozi nielegalnie dzieła sztuki, biżuterię, które rodzina Mariny natychmiast upłynnia. Pobyt za granicą działa na Wysockim wyjątkowo destrukcyjnie. Tęskni za swoimi rosyjskimi wielbicielami, nie może napić się z nimi wódki, spędzać noce z rosyjskimi kobietami.

Kiedyś śpiewał na dacy Chruszczowa, uwielbiał go szef KGB Andropow. Był człowiekiem nietykającym. Wybaczano mu wszystko. W chwilach trzeźwości zdawał sobie sprawę, że parokrotnie oszukał śmierć. Cierpiał na halucynację i deliryczne napady. W czasie turnee po Azji Środkowej przeżył ponownie śmierć kliniczną, tracąc przytomność w trakcie koncertu w Uzbekistanie. Nie przestaje jednak pić, narkotyzuje się, zdobywa kolejne kochanki, szukając - jak mówił - niespełnionej miłości. Z powodu kłopotów z głosem nie śpiewa swoich ballad, lecz recytuje i opowiada. Jedną z jego znajomych doprowadza do szczegółowych badań lekarskich Wysockiego. Diagnoza brzmi: żywy trup! Na wiadomość o tym Wysocki wpada w pijacki trans, wypija duszkiem butelkę wódki i zapija dwoma butelkami szampana. Dochodzi do zaniku odruchów fizjologicznych, utraty przytomności i śmierci.

Władimir Wysocki zmarł 25 lipca 1980 roku. Z Paryża przyleciała Marina Vlady. Domagała się zabalsamowania zwłok męża i wycięcia serca, które zamierzała zabrać do Paryża. Nie otrzymała jednak zgody władz. Wysockiego pochowano z honorami, ubranego w strój Hamleta, w tzw. rządowej trumnie. Według innej wersji, Wysocki został zamordowany na rozkaz KGB. W jednej z ostatnich swoich piosenek napisał:

*Jak wszyscy byłem bez pojęcia
a jeśli miałem - całkiem małe.*

Należy pamiętać, że Wysocki żył w okresie dominacji systemu komunistycznego we wszystkich dziedzinach. Nie obalano jego mitu w okresie „panowania” ZSRR w krajach Europy Wschodniej i poza jej granicami. Przedstawiano go jako legendarnego artystę, mającego poparcie najwyższych władz, knując jednocześnie i fałszując jego prawdziwy, szokujący życiorys. Gdyby zabrano narodowi portret idola, ujawniając tajniki z jego życia, mógłby runąć pomost budowany pomiędzy mitem a prawdą za pomocą ukrytych kłamstw, ale do tego nie wolno było doprowadzić.

Andrzej Szczepanik, Bytów

Na podstawie: „Pożar serca”, Tadeusz Klimowicz, Wyd. Uniwersytet Wrocławski; „Wysocki - dwie lub trzy rzeczy, o których wiem”.

doskonały odbiorca jest też artystą



Kontekst kulturowy w twórczości Herberta jest bardzo istotny, bez niego niepodobna czytać i odczytać jego utworów

„Chciałbym, i to jest moja wiara w czytelnika, żeby był on moim współnikiem, żeby pracował ze mną. Sądzę, że ci, którzy dostarczają łatwej rozrywki, mają jakiś pogardliwy stosunek do swego odbiorcy. Ja go traktuję jako swego partnera, z całym szacunkiem dla jego odmienności, władzy sądenia i krytycyzmu.(...) Pisarz zaprasza serio do gry wyobraźni - mówił Zbigniew Herbert w „Rozmowie” o pisaniu wierszy.”

„Utwór literacki, jak każde dzieło sztuki, musi być samoistny, „stać na własnych nogach”, niezależnie od przeżyć, jakie go powołały z niejasnej krainy obrazów, emocji, przeżyć. I musi być utrwalony w języku w sposób narzucający się wyobraźni.” (tamże)

Skorzystajmy z zaproszenia poety do gry wyobraźni przy lekturze wiersza z tomu „Napis”, wydanego w 1969 roku.

Przebudzenie

*Kiedy opadła groza pogasty reflektory
odkryliśmy że jesteśmy na śmietniku w bardzo dziwnych pozach
jedni z wyciągniętą szyją
drudzy z otwartymi ustami z których sączyła się jeszcze ojczyzna
inni z pięścią przyciśniętą do oczu
skurczeni emfaticznie patetycznie wyprężeni
w rękach mieliśmy kawałki blachy i kości
(światło reflektorów przemieniało je w symbole)
ale teraz to były tylko kości i blacha
nie mieliśmy dokąd odejść zostaliśmy na śmietniku
zrobiliśmy porządek
kości i blachę oddaliśmy do archiwum
Słuchaliśmy szczebiotania tramwajów jaskółczego głosu fabryk
i nowe życie słało się nam pod nogi*

To tylko czternaście wersów, kilka zdań, wśród których odnajdujemy parentezę, zapisanych białym wierszem wolnym, by wypowiedź mogła oddziaływać na czytelnika dwoma układami: składniowym i wersowym, by przez brak wyróżników interpunkcyjnych wers dominował nad składnią. By wypowiedź ukształtowana w wiersz zawładnęła czytelnikiem, poruszyła jego wyobraźnię, ponieważ wypowiedź modelowana na poziomie wersu zyskuje hierarchię znaczeń i wprowadza zależności między elementami poetyckiej wypowiedzi. To także jeden ze sposobów na autorską wykładnię interpretacyjną. „Doskonały odbiorca jest też artystą, i to rzadkim. Jest to ktoś taki, który potrafi odtworzyć w sobie arię, koloryt obrazu czy wiersz, i to odtworzyć dokładnie, z taką samą bezinteresowną radością, jakby to on był autorem.”- powiada Zbigniew Herbert w cytowanym wywiadzie.

Przystępujemy zatem do odczytania tekstu przyjmując zastrzeżenia autora i pozostając w przekazanym przez niego przekonaniu, „że dopiero w języku ujawnia się człowiek cały - jego niepokoję i radości, wartości, które akceptował.”

Czytelnicy poezji Zbigniewa Herberta z łatwością rozpoznają jego styl. W utworach od najwcześniejszych aż do „Pana Cogito” i „Raportu z obłąkanego miasta” dominuje intelektualny ascetyzm w sferze języka. Autor „Przebudzenia” w cytowanym już wywiadzie tak mówi o języku poezji: „Język jest nieczystym narzędziem wyrazu. Codziennie banalizowany, torturowany, poddawany nikczemnym zabiegom, więc marzeniem poetów jest dotarcie do dziewiczego sensu słów, do dawania odpowiedniego rzeczom słowa, jak mówi Norwid. „Niech słowa znaczą to tylko, co znaczą a nie przeciwko komu zostały użyte”. To znowu cytaty z innego wielkiego poety. Dla mnie dialog z rzeczami był właśnie taką próbą dotarcia do czystych źródeł mowy. Był także buntem przeciwko kłamcom i szalbierzom”.

W „Przebudzeniu” styl poddany został rygorom najprostszej poprawności składniowej, tak by nic nie zakłócało funkcji informacyjnej języka. Pierwszy wers z dwoma orzeczeniami tworzącymi proste zdania: „opadła groza pogasty reflektory” wprowadza czytelnika w czas opisywanego zdarzenia zaimkiem względnym „kiedy”. Nietypową dla liryki sytuację narracyjną uzupełnia równie ascetyczny opis. Nie znajdziemy w nim nic, co zdradzałoby emocje podmiotu mówiącego. Rzeczownikom towarzyszą jedynie konieczne określenia: „dziwnych pozach, wyciągniętą szyją, otwartymi ustami”. Jedynym znakiem poetyzowania w sferze leksyki staje się złamanie frazeologizmu jako sygnał, byśmy nie ufali codziennej potoczności mowy. Przywykliśmy do stałych związków wyrazowych, ich naruszenie uznajemy często za błąd, a w wierszu Herberta z otwartych ust nie sączy się krew, lecz: „drudzy z otwartymi ustami z których sączyła się jeszcze ojczyzna”. W polskiej historii taka zamiennia może się wydać uprawniona, historia ojczyzny pisana była krwią, jak powiedziałby poeta, ale nie poeta Herbert. Zaskoczenie uwydatnia klauzulowa pozycja rzeczownika ojczyzna oraz wcześniej określone miejsce zdarzeń: jesteśmy na śmietniku. Taki kontekst metafory pozwala dostrzec jej sarkastyczny wymiar i, mimo liczby mnogiej podmiotu mówiącego, dystansowanie się od praktyki nadużywania patriotycznego pojęcia. „Jesteśmy na śmietniku”, odkrywa bohater, ale obwarowuje swoją pozycję opowiadaczabarda, dystansując się od „jednych”, którzy „z wyciągniętą szyją”, „drugich” „z otwartymi ustami”, wreszcie „innych z pięścią przyciśniętą do oczu



(którzy) skurczeni emfaticznie patetycznie wyprężeni”. Znaczenie odprzymiotnikowych przysłówków mieści się w zasobie słownictwa określającego emocje, ale nie są to ekspresywizmy. Tym samym zachowana zostaje „czystość” emocjonalna podmiotu jako bohatera i jednocześnie rejestratora niezwykłego przebudzenia na śmietniku. Dziwny to śmietnik, na którym widzimy tylko bohaterów jakichś wcześniejszych rozgrywanych w aurze grozy, patosu i empatii zdarzeń, sygnalizowanych zaimkiem „kiedy”. Podmiot lirycznej wypowiedzi odwołuje się do przeszłości, wprowadzając dwie płaszczyzny czasowe: czas wypowiedzi nie jest równoległy z przeszłym czasem zdarzeń. Podmiot mówiący przywołuje czas teraz: „Odkryliśmy, że jesteśmy na śmietniku”, „teraz to były tylko kości i blacha”. Stajemy się słuchaczami opowieści barda o tym, co zdarzyło się kiedyś. Tak zaczyna się opowieść: „Kiedyś...”. To czas miniony, czas historyczny, czas przywołany obrazem sączącej się jeszcze z ust ojczyzny. Jakbyśmy oglądali ryciny Goi z cyklu okropności wojny, ale jednocześnie słuchali jakiejś relacji z przedstawienia teatralnego, gdzie kawałki blachy i kości „światło reflektorów przemieniło w symbole”. Symbole czego, spytamy. Odpowiedź nie może być jednoznaczna. Istota symboliki wyraża się wielopłaszczyznowością odczytu, odniesieniem do różnych obszarów znaczeń. Kości jako leksem opisuje znaczna ilość kontekstów, od gry hazardowej do symbolu systemu wartości (mówimy przecież o kręgosłupie moralnym), że trudno bez narażania się na zawężenie interpretacji wskazywać jednoznaczną wymowę. Podobnie pojęcie blachy, właściwie kawałków blachy - można interpretować jako symbol zbroi, a może nic nie wartych odznaczeń? Ostatecznie w „Przebudzeniu” i kości, i kawałki blachy powędrują do archiwum, zamykając plan przeszłych zdarzeń: „kości i blachę oddaliśmy do archiwum”. Archiwum jako znak historii, miejsce, gdzie dokonuje się jej opisu, oceny, gdzie przechowuje się cenne dokumenty przeszłości. I tylko kości i blacha ocalały ze śmietnika, gdy „nie mieliśmy dokąd odejść zostaliśmy na śmietniku / zrobiliśmy porządek”. Kości i blacha, które pozostały na śmietniku historii to jedyne wartości, o które warto było zadbać, które pozostaną cennym depozytem. Tylko to jest znakiem ocalałych wartości, mogących mieć rangę symbolu, gdy padnie na nie światło reflektorów w wirze kolejnych zdarzeń. Tę kwestię umieszcza Herbert w nawiasie, traktuje jako dopowiedzianą parentezę, warunkując tym samym jej znaczenie i sygnalizując narracyjny dystans.

Poezja Herberta jest grą konfrontacji kultury mitu z praktycznym punktem widzenia, co Stanisław Barańczak, autor „Ucieczki z Utopii,” badacz poezji Herberta, ilustruje opisując skomplikowane relacje między „wydziedziczeniem” i „dziedzictwem” w twórczości Herberta. Konfrontacja odbywa się na różnych poziomach, od symbolicznych słów kluczowych do lirycznych metafor demaskacji, od ironii i sarkazmu do formułowania implicite systemu etycznego, który pozwala mu być ironistą i moralistą.

Kontekst kulturowy w twórczości Herberta jest bardzo istotny, bez niego niepodobna czytać i odczytać jego utworów. „(...) kultury nie dziedziczy się mechanicznie, jak - domku zapisanego przez rodziców. Trzeba ją natomiast w pocie czoła wypracować, zdobyć dla siebie, potwierdzić sobą. I nic tu nie pomoże usprawiedliwianie i tłumaczenie, że żyjemy w epoce wyjątkowej, bowiem każda epoka ludzkości była wyjątkowa. Błędem jest także mniemanie, że kultura istnieje, utrzymuje się sama przez się, zmagazynowana w bibliotekach i muzeach. Historia uczy nas, że można niszczyć narody i ich dorobek w sposób niemal doskonały”, to przekonanie autora „Przebudzenia” warto przytoczyć, by poszerzyć kontekst interpretacyjny dla interesującego nas wiersza.

Fabularna relacja w „Przebudzeniu” wykorzystuje motyw snu i przebudzenia funkcjonujący w sztuce od najdawniej-

szych przekazów. Najpełniej w wymiarze estetycznym korzystał z tych motywów romantyzm, by przypomnieć choćby „Dziady” Mickiewicza czy Słowackiego „Sen srebrny Salomei i Księdza Marka”. Romantyczno-mesjanistyczna symbolika buntu, patetycznego gestu tak przekonująco wyartykułowana w romantycznych dramatach jest ciągle obecna w społecznej świadomości dzięki kontynuacjom, przywoływaniu tamtych symboli przez kolejne pokolenia, żeby wymienić tylko najbardziej znane nazwiska Wyspiańskiego czy Aleksandra Kamińskiego w „Kamieniach na szaniec”.

Twórczość Herberta (rocznik 1924) wyrasta z tragicznych zdarzeń, których świadkami i bohaterami było jego pokolenie. W wywiadzie, do którego się odwołuję, poeta wyznaje: „Zaczęłam pisać w czasie wojny. Zamieszczony w tym tomie wiersz „Dwie krople” nie jest, jeśli pamiętam, pierwszym, jaki napisałem, ale pierwszym, do którego mogę się po latach przyznać. Miałem wówczas kilkanaście lat. Była wojna”. Byłoby nadużyciem interpretacyjnym łączenie obrazów z wiersza „Przebudzenie” z tamtymi bolesnymi zdarzeniami, wszak świat zamknięty w wierszu nie ma określonego czasu. Tom „Napis” został wydany w 1969 roku, kiedy autor przebywał poza granicami. Mamy jednak prawo zakładać, że tym jaśniej dostrzegał sens zdarzeń 1968 roku w Polsce, mimo że rok ten w niemal całej Europie pisał się wydarzeniami, których konsekwencje odczuwamy do dziś. W Polsce studenci i intelektualiści demonstrowali w obronie wolności słowa. Zaczęło się, o czym wszyscy doskonale wiedzą, od „Dziadów”, obrony wypowiedzi teatralnej. Literatura spełniła swą rolę, kości i blachy po raz kolejny opuściły Archiwum, wkraczając na scenę historii w blasku, dodajmy, wówczas jeszcze nikłym.

Studenci mieli poczucie klęski. Władza wysłała wojsko do Czechosłowacji. Ludzie spontanicznie żegnali żołnierzy. „To jest potworny obraz społeczeństwa, które - niczego nie rozumiejąc - przyjmuje każde kłamstwo propagandy. W dodatku jest przerażająco bierne. Gdy 8 września na Stadionie Dzieśięciolecia Ryszard Siwiec płonął w proteście przeciw wejściu do Czechosłowacji, stuśięcny tłum tego „nie zauważył”. Ludzie woleli nie patrzeć, nie dowiadywać się, nie mieszać do nie swoich spraw”- ocenia Zbigniew Gluza, prezes ośrodka Karta w 2008 roku (GW-2008-03-07).

„Przebudzenie” Zbigniewa Herberta kończy się dwuwierszem:

„Słuchaliśmy szczebiotania tramwajów jaskółczego głosu fabryk i nowe życie stało się nam pod nogi”

Szczebiot, jaskółcze głosy jednoznacznie kojarzą się z wiosną, wskazując na czas przebudzenia. W zestawieniu z wcześniejszymi obrazami pointa brzmi sarkastycznie wbrew rzeczywistości znaczeniu. Podmiot mówiący utożsamia się z bohaterami swej opowieści pozostając w formule liczby mnogiej. Jest współodpowiedzialny za „śmietnik”. Ponadto on, bohater - bard staje się strażnikiem pamięci, bez względu na stosunek do zdarzeń. Jednak życie rządzi się swymi prawami. Każdy śmietnik w końcu trzeba sprzątnąć, bo dokąd mamy pójść? Dla porządku przypomnijmy, że 29 marca 1968 roku Zbigniew Herbert poślubił w Paryżu Katarzynę Zdzieduszycką.

„Podstawową funkcją kultury jest budowanie wartości, dla których żyć warto. Istnieje także stare pojęcie - humanista, dla mnie drogie i znaczące, dla innych ośmieszona i niemodne. Dla tych ostatnich jest to starszy pan czytający klasyków, ale zagubiony we współczesnym świecie, nieporadny relikwyt przeszłości. A przecież humanista to ten, który stara się asymilować, przyswajać i oswajać jak najszersze obszary rzeczywistości. Tworzyć świat, a przynajmniej obraz świata, na miarę człowieka - jego zdolności rozumienia i wrażliwości”- takim stwierdzeniem Zbigniew Herbert kończy „Rozmowę o pisaniu wierszy”.

Czesława Długoszek, Objazda



Smuci mnie fakt, że obecnie tak niewielu wydawców popularnych, codziennych gazet decyduje się na urozmaicenie i popularyzację poetyckiego słowa

skarby przeszłości

Czas terażniejszy poświęcamy na wiele przeróżnych czynności, toteż nie zauważamy jak szybko przemija bezpowrotnie. Między rutynowymi, często banalnymi zajęciami zdarzają się momenty ważne, czasem rewelacyjne. Rozbudzają poznawczą ciekawość i chęć zagłębiania jakiejś tajemnicy, na przykład poprzez zanurzanie się w minione czasy.

Bywa, że przypadkiem można natknąć się na jakiś ślad z przeszłości. Czasem są to bezcenne pamiątki dokumentujące minioną epokę, niekiedy zamierzchłe dzieje. Takim nieoczekiwanym znaleziskiem okazał się skarb w postaci sporej ilości monet (ok. 5000 sztuk) z okresu XI-XII wieku. Część z nich to jeszcze wcześniejsze, bo bite przez Arabów, tzw. dirhemy, a także sporo tzw. siekańców (monety cięto w celu zmniejszenia nominału). Skarb ten ukazał się zdumionym oczom czterech kobiet, które robiły rabaty kwiatowe w miejscowości Bonin koło Koszalina kilka miesięcy temu.

O swoim odkryciu panie poinformowały Muzeum koszański, gdzie obecnie dokonywane są specjalistyczne analizy. Jako ciekawostkę można przytoczyć zapewne przesadzone słowa Galla Anonima, który pisał niegdyś o Pomorzu: „...za denara kupisz wóz świeżych śledzi”.

Tak więc warto bacznie obserwować świat wokół siebie, a czasem trochę pokopać. Zawsze można przecież dokopać się „do czegoś”.

Bywają także inne przypadki, kiedy odkrywamy coś ciekawego w zasięgu ręki, we własnym domu. Warunek - musimy mieszkać w leciwym domu lub starej kamienicy.

Pewien mieszkaniec Koszalina, rozebrawszy stary piec kaflowy natknął się na poźółtkie nieco polskojęzyczne gazety z

drugiej wojny światowej. Są to popularne „brukowce” - dzienniki, ale tu ciekawostka - „Dziennik Polski” wydany w Londynie 1 czerwca 1942 roku i „Więści Polskie” z datą 7 czerwca 1942 roku, wydane w Budapeszcie, czyli mniej więcej w tym samym czasie, a więc w samym środku tej hekatombi XX wieku.

Wszystkie doniesienia w obu gazetach traktują o sprawach aktualnych - zgodnie z datą. Po przeczytaniu obu nie mogłam oprzeć się refleksji, że wydane zostały po obu stronach barykady. Zagadnienia historyczne zostawię historykom. Mnie jako poetkę fascynuje inny temat. W obu gazetach wydanych w czasach odartych z człowieczeństwa, pozbawionych romantycznych uniesień - w tych gazetach było miejsce na poezję. W „Dzienniku Polskim” wydany w Londynie znajduje się humorystyczny wiersz Mariana Hemara nawiązujący do jak najbardziej poważnych czasów. W gazecie wydanej w Budapeszcie znalazłam trzy wiersze węgierskiego poety Andrzeja Ady'ego - w tłumaczeniu Kazimierzy Iłakowiczówny, która w okresie wojny znajdowała się na terenie m.in. Siedmiogrodu, a w jej ogromnym dorobku literackim znajdowało się wiele tłumaczeń.

W związku z powyższym smuci mnie fakt, że obecnie tak niewielu wydawców popularnych, codziennych gazet decyduje się na urozmaicenie i popularyzację poetyckiego słowa. Skądinąd wiem, że spora część czytelników byłaby z takiego faktu zadowolona. Ponadto myślę, że tak jak muzyka, poezja także łagodzi obyczaje, a tego wszystkiego nam potrzeba.

Irena Peszkin, Koszalin

DLACZEGO NIE CHCĄ POETYCKIEGO SŁOWA?

myszka wraca do raju...



„Poczwarka” Terakowskiej to historia rodziców, Adama i Ewy, chorych na schizofrenię. To rysopis osób, które nabawiły się w procesie uspołecznienia schizofrenii tożsamościowej. Tak właśnie przedstawia ich powieściopisarka

Ich choroba, która prowokuje do dyskusji, nie daje czytelnikom spokoju. Terakowska szuka jakiegoś kryterium normalności, do którego przyłożyć można ludzkie zachowania. I okazuje się, że takiej zasady brak. I że to my, czytelnicy zapytać musimy samych siebie, czy przypadkiem my również nie zachowujemy się szablonoowo jak przypadki „kwalifikujące się” do natychmiastowego leczenia?

Oczywiście, problem schizofrenii, wydaje nam się sprowokowanym żartem. Bo jako przeciętni czytelnicy widzimy tylko nieuleczalnie chorą, na najcięższą z postaci monogolizmu, dziewczynkę. I nic poza tym. A to błąd. Bo tak samo istotni są jej rodzice, którzy chorują na to samo, co inni gapie współczesnego świata, dostrzegający przed sobą jedynie perspektywę szybkiej kariery. Dziewczynka i jej rodzice reprezentują dwa wymiary światów. Podczas gdy rodzicom możemy przypisać obszar realistyczny, to dziecku wymiar pozaziemski, metafizyczny. Książka utkana na biblijnej tkance, otwierająca niby stronicie samopiszącej się opowieści mitycznej, jest pytaniem o kondy-



PREZENTACJE

cję nas samych, starotestamentowych rodziców, którzy ukryli się za drzewem, bojąc się spojrzenia losu. I to od nas zależy, czy my też zaczniemy się bać, słysząc pytanie: „Gdzie jesteś Adamie?”. Bo czasem bywa tak, że lęk przed spotkaniem z naszym występkiem, w tym wypadku, porzuceniem wyzwania wychowywania swojego dziecka, będzie naszym lękiem. Ale czego tu się bać? Odmienności, inności, czy raczej braku aprobaty sąsiada bądź sąsiadki?

Biblijne odwołania można czytać na wielu płaszczyznach „Poczwarki”. Można wyławiać nowe sensory i zmagać się z ich interpretacją. Podałam tylko jedną z nich. Niezwykle ważne są także odwołania do raju - pierwotnej nagości, czyli czystości, do której powraca Myszką w supermarkecie. Dziewczynka tańczy i tylko te niezgrabne ruchy pomagają jej się wyzwolić z okopów płytkiej codzienności. Ale nikt ze stojących w supermarkecie ludzi tego nie zrozumie, bo nigdy nie spotkał się z równie skomplikowaną duchową substancją. Sęk w tym, że słabości ludzkie, zależności jednostki od pozostałych hamują możliwość pojedynczej akceptacji. Wszyscy utracili już swój raj, Myszką mieści Eden w sobie, ale wewnętrzne szczęście nie gwarantuje społecznego szacunku. I właśnie, dlatego ga-

pie wyładowują się na Ewie, która na chwilę przez nieuwagę zostawiła w sklepie Myszkę samą.

Zachowania ludzkie można zaprogramować, można nauczyć ludzi takiego a nie innego postępowania, które będzie tolerowane społecznie. Na wszystko nakłada się kody i kalki i jeżeli ktoś ich nie przestrzega, to jest „społecznym wyrzutkiem”. Postępujemy, więc jak „pies Pawłowa”, czyli według schematu: bodziec - reakcja. Nasze życia są kompozycją trwałą, powtórzeniem tych samych elementów, choć w różnych konfiguracjach. Jeżeli im ulegniemy, to nigdy, nawet za wygórowaną cenę, nie kupimy prawdziwych samych siebie. Cięży, bowiem na nas piętno również stereotypów mentalnych. Osoba spoza kategorii tzw. „normalnych ludzi”, zaprezentowana przez Terakowską, czyli Myszką otwiera możliwość dyskusji nad błędami społeczności. Jest inna, ma swój świat, który jest jednocześnie tak głęboki i inspirujący, że tworzy sam siebie. Tę prawdziwą rzeczywistość skrywa ona w swoim wnętrzu. Tylko, że co innego jest na zewnątrz. I kto nie dostrzeże jej istotnej różnicy, ten nigdy nie wyleczy się ze schizofrenii.

Anna Łozowska, Słupsk

Dorota Terakowska, „Poczwarka”, Wydawnictwo Literackie, 2007.



zofia kamińska-smalewska - słupsk

Urodziła się w Choszczynie. Dzieciństwo spędziła w Gdyni na Witominie, a potem przez długie lata mieszkała w Słupsku. Jest absolwentką Akademii Rolniczej w Szczecinie. Zawodowo była związana z doradztwem rolniczym i turystyką. Od dwóch lat mieszka w Naćmierzu, gdzie prowadzi gospodarstwo agroturystyczne. Wiersze pisze od niedawna. Mimo iż mąż jej jest profesjonalistą w zakresie twórczości literackiej, nigdy mu nie zazdrościła, ani też nie usiłowała go naśladować. (z)

WIOSNA I WINO

Kołysze się w lampce rozmarzone wino
Podziwiam sztukę szlifierską
blask czystego kryształu
zarysy liści szlachetny motyw akantu

Wino - złudny zaklinacz marzeń
Snom nadaje mocy wcieleń jawy
Sączę go powoli W aksamicie trunku
bezbarny pejzaż rozkwita czerwienią

Wznoszę toast i piję na cześć własnej dumy
Za zdrowie duszy
Za duszę lasu za świergot ptaków
Za wiosnę

Moja dusza żyje lasem
świergotem ptaków
Czuję w głowie szmerek Leśne ptaki śpiewają
Na zdrowie

Wino - marzenie ulotna ułuda
życie nabiera kolorów

Słyszę serce - śpiewa wraz z duszą
Smutki samotności pogrążają się w śpiewie

WIECZOREM, 13 MARCA 2011 ROKU

Czytam słucham i przeżykam ślinę
Łza spływa mi po policzku
Słyszę krążące myśli i słowa nie do
wypowiedzenia

Czuję ból
jakby ostrze noża rysowało oblicze świata

Przecież zawsze układałam miłe słowa
brzmiały ciepło kołysały do snu
dodawały blasku w bezsenną noc
uśmiechu w deszczowy dzień
- Gdzie teraz jesteście?

Okrutna codzienność budzi lęk
Nie potrafię ukryć goryczy
Radioaktywna chmura znów posiała śmierć
Knuczości życia nie umiem porównać z niczym
Pochylona w japońskim skłonie

nie przepraszam Proszę o życie

NAĆMIERSKIE WZGÓRZA

Idę przez wzgórze, porośnięte ciszą.
Przechodzę swobodnie przez zielone morze,
gdzie się wstążki mięty, tymianku
i rumianków wiją.

Zapewne była tu kiedyś puszcza,
którą zniszczył człowiek.
Świątynia ciszy z ołtarzami dla ptaków
i zwierząt.

Spoglądam na łuki - podwójne, ku niebu.
Kierując wzrok ku prześwitom
rozrośniętych buków.
Ciężar przestrzeni przygniata mnie lekko

jakbym była winna temu, że zakwitły
kwiaty.
Nie czuję się winna, mam ze sobą miłość.
Poniosę ją przez wzgórze tą śródleśną drogą.

Będę patrzeć jej w oczy długo, bardzo długo.
A jak będzie trzeba, wrócę tu o zmroku.